Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 6,66 zł w tym 8% VAT NR 45 (1729) 10 – 16 listopada 2023

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Zróbcie na złość Kaczyńskiemu

str. 6

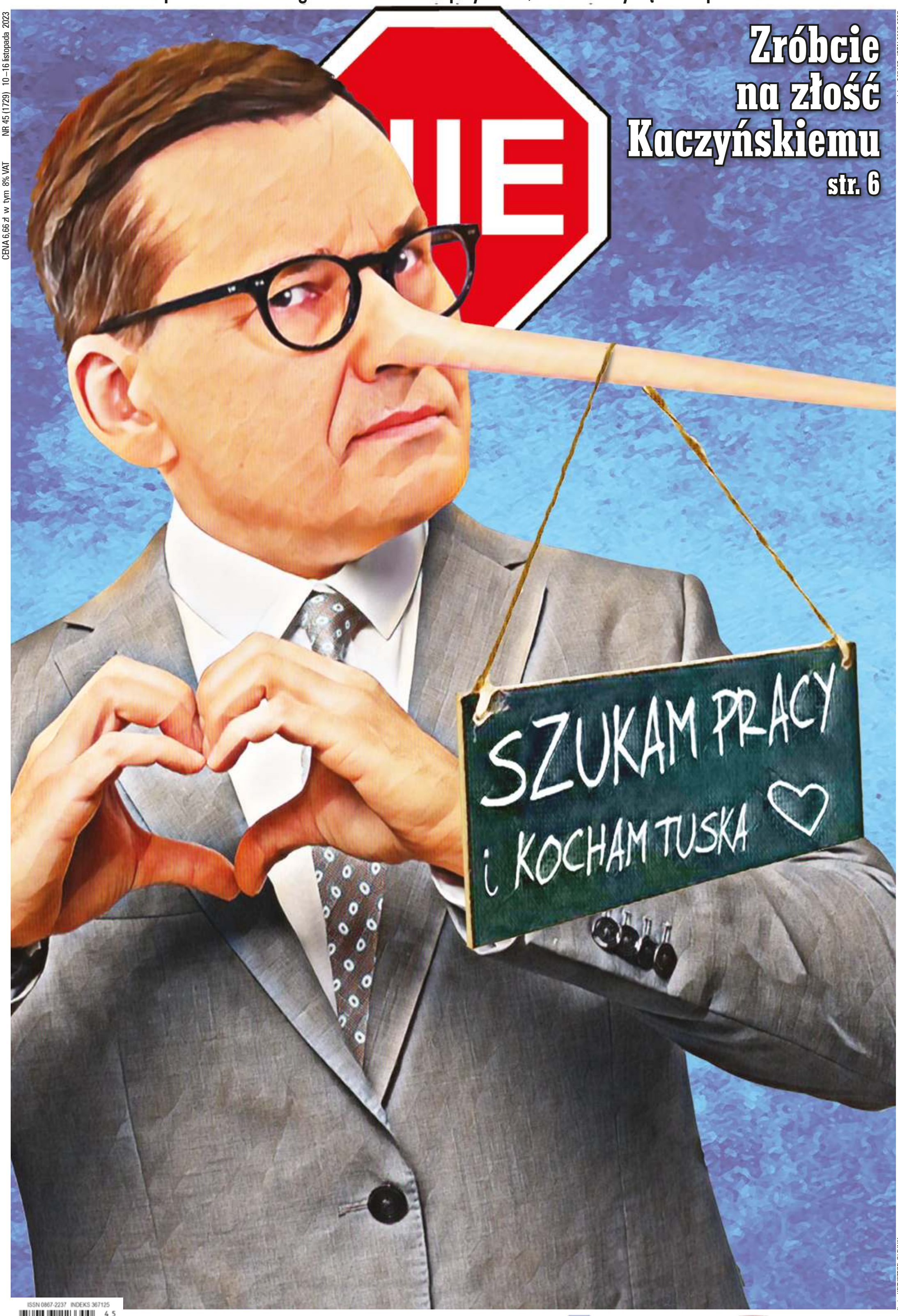

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
45
9 770867 223300

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 177f73f476

RĄBANKA POWYBORCZA

Pierwszy powyborczy sondaż partyjny: IBRiS dla „Rzeczpospolitej". PiS traci: 32,6 proc. (w wyborach 35,3). Koalicja Obywatelska też: 29,2 proc. (w wyborach 30,7). Zyskuje Lewica – 9,1 proc., (w wyborach 8,6). Zyskują też partie Trzeciej Drogi: PSL – 7,8; Polska 2050 – 7,6, razem 15,4 proc. (w wyborach 14,4). Konfederacja stoi: 7 proc. (w wyborach 7,1). Najmocniej traci frekwencja: do wyborów poszło 74,3 proc. Polaków, a dziś wybrałoby się zaledwie 56,6. Inny sondaż wykazuje, że choć rodacy poparli zmianę rządu, wcale nie oczekują radykalnych zmian w działaniu: 61 proc. jest przeciw likwidacji CBA, a 64,7 – chce utrzymać przy życiu IPN. Utrzymania dużych wydatków na zbrojenia chce 76,2 proc., budowy CPK – 51,3 proc.

W poniedziałek rano szef kancelarii prezydenta Marcin Mastalerek podniósł ciśnienie wszystkim, ogłaszając, że Duda już wie, kogo zrobi premierem, ale powie dopiero wieczorem. Mastalerek orzekł, że „decyzja jest ostateczna" i żeby więcej prezydentowi nie truć dupy apelami. Co było wszak pewną podpowiedzią co do treści decyzji, której zresztą wszyscy się spodziewali: mało kto liczył na to, że Andrzej Duda oderwie się od macierzy i wbrew PiS-owi powierzy misję formowania rządu temu, kto ma szansę go sformować. Na odcinku premiera niespodzianki nie było.

Inaczej niż na odcinku marszałka seniora, którym został Marek Sawicki z PSL. Sawicki nie jest wprawdzie najstarszy, ma za to – wyjaśnił prezydent – najdłuższy staż: 30 lat bez przerwy. Najbardziej zdziwiony był sam Sawicki, zwłaszcza kiedy posłowie PiS zaczęli się do niego łasić w świetle kamer. „Pan marszałek senior zawsze stał na stanowisku, że trzeba przestrzegać zasad, i zawsze ich przestrzegał jako uczestnik Konwentu Seniorów, za co bardzo wysoko go cenię" – gruchała posłanka Gosiewska. Wyznała też uczucie wicemarszałkowi Zgorzelskiemu: „Nasza współpraca zawsze była wzorcowa i liczę, że dalej taka będzie". Umizgi pisowców różnych szczebli nieco peszą PSL, ale jeden pozytyw jest niewątpliwy: wybór Sawickiego ukręcił łeb spekulacjom, że pisowski marszałek senior otworzy obrady i zaraz ogłosi przerwę, zamrażając prace nowego sejmu.

Dla wyrównania dobrego wrażenia, które mogło zrobić powołanie Sawickiego, prezydent postanowił zreformować Sąd Najwyższy tak, żeby pisowscy sędziowie mogli sami siebie uznać za legalnych. Na razie do podjęcia jakiejkolwiek uchwały potrzeba kworum w postaci dwóch trzecich pełnego składu, a pisowscy nominaci stanowią niewiele więcej niż połowę członków SN, co oznacza, że legalni sędziowie mogą zablokować ich decyzje, po prostu nie przychodząc. Teraz Duda chce, żeby do kworum wystarczyła połowa. To może dodatkowo skomplikować posprzątanie sądownictwa. À propos sądownictwa: TVP przechodzi przemianę, staje się strasznie dowcipna. Bronisław Wildstein: „O problemach z tym związanych będę rozmawiał z najważniejszym autorytetem prawnym w Polsce, Prezesem Trybunału Konstytucyjnego, panią Julią Przyłębską".

Premier Morawiecki też przechodzi przemianę. Nie tylko wyobraża sobie siebie jako ministra w rządzie Władysława Kosiniaka-Kamysza, ale jest także żarliwym zwolennikiem „kompromisu aborcyjnego" i uważa, że antyaborcyjny wniosek katooszołomów do TK „był błędem". Kosiniak, choć też jest zwolennikiem rzeczonego „kompromisu", nie chce kierować rządem z Morawieckim na pokładzie. Karci go za to Mastalerek: „Gdyby Władysław Kosiniak-Kamysz miał jedną dziesiątą determinacji Morawieckiego, to miałby szansę zostać premierem. Taka szansa może się nie powtórzyć". I straszy: „W listopadzie 2025 r., kiedy będą wybory w PSL, może ktoś przypomni Kosiniakowi: »Władek, mogłeś być premierem«". Nawet mamy pomysł kto: Przemysław Czarnek, który od 15 października zapewnia, że widzi siebie w PSL. Na wszelki wypadek przypominamy, że żeby wstąpić do PSL, trzeba mieć dwóch członków wprowadzających. Trzymajcie się za członki, koledzy ludowcy!

À propos Czarnka: na pożegnanie przeorał on – jeszcze raz – listę tzw. czasopism punktowanych, czyli tych, w których naukowcy muszą publikować, żeby dostać punkty do doktoratu czy habilitacji; punkty decydują też o ocenie wydziału, który ich zatrudnia, jego finansowaniu i prawie do przyznawania stopni naukowych. Obecnie „Pedagogika Katolicka", w której radzie naukowej zasiadają głównie biskupi z Wielgusem na czele, ma 200 punktów – maksymalną liczbę, tyle samo, co „Nature" czy „Science". „Pedagogika Katolicka" publikuje artykuły za pieniądze, z tym że odwrotnie niż normalne redakcje to ona bierze kasę od autorów: 750 zł za stronę maszynopisu. Nasze ulubione naukowe publikacje punktowane z „PK": „Świętego Jana Pawła II wizja odrodzenia w wierze", „Żołnierska służba z Bogiem w obronie Ojczyzny".

Umowa koalicyjna jest prawie dogadana – ogłosił Donald Tusk we wrocławskim Jagodnie, które nawiedził w nagrodę za nocne kolejki do urny. Zaskakująco przecieków jest niewiele, choć ponoć brak chętnych na ministerstwa gospodarki i zdrowia, za to na marszałka sejmu jest dwóch, co zrodziło koncept rotacyjności. Szymon Hołownia, który może być w połowie kadencji zmuszony do rezygnacji ze stołka, zapowiada, że jak on, to inni również – sejm za senat.

Kandydatką na marszałka senatu była przez chwilę Magdalena Biejat, ale ponoć zirytowała koalicjantów, a nawet klubowych kolegów uwagą, że od przydziału dup do stołków ważniejszy jest program. Dodatkowo Biejat jest przeciwna obniżaniu podatków dla bogatych. Oburzenie platformersów nie zna granic. To już drugi raz, kiedy Biejat łamie sobie karierę w związku z tym, że jako parlamentarzystka lewicy głosi lewicowe poglądy: w zeszłej kadencji PiS wywalił ją z szefowania komisji rodziny, bo powiedziała, że jest za legalną aborcją. Nic się dziewczyna nie uczy.

Z URNY URBANA

Urban już w listopadzie 2016 r., po pierwszym roku prezydentury Andrzeja Dudy, podsumował jego rolę jako głowy państwa. Ten felieton jest szczególnie aktualny teraz, wobec powyborczego zachowania prezydenta.

Andrzej I, król Polski

Skoro Kaczyński chce rządzić, musi być dyktatorkiem. Nie ujmując mu sprytu i instynktu politycznego – w demokracji nie umiałby trzymać władzy. Współczesne państwo tego typu jest maszynerią nazbyt skomplikowaną. Prezes, biorąc za mordę całe państwo i stopniowo społeczeństwo, może powtórzyć za klasykiem: „Nie chcem, ale muszem".

Weźmy Wielką z nazwy Brytanię. Tamtejsi poddani królowej wybrali do Izby Gmin większość pragnącą pozostania w Unii Europejskiej, po czym ten sam elektorat w plebiscycie zdecydował o brexicie. Sąd nakazał, że rozwód z UE ma uchwalić parlament, który go nie chce. Przyśpieszone wybory zapewne wyłoniłyby jeszcze silniejszą większość prounijną mającą przed sobą błędne koło tworzone przez elektorat. Nowy parlament albo zlekceważyć musi wolę swoich wyborców, albo referendum. Podobnie skomplikowanych problemów z demokracją Kaczyński nie mógłby rozwiązywać inaczej, niż tupiąc jedną albo drugą nogą.

Jedno jednak łączy ustroje Polski i Wysp. Londyńskim odpowiednikiem Dudy jest królowa. System udaje, że ona mianuje premiera, rząd, lordów, posiada pocztę, armię, lotnictwo. W rzeczywistości jest kukłą „swojego" premiera. Jej obowiązek to raz do roku włożyć koronę i pojechać do parlamentu karetą ciągniętą przez duże ssaki. Duda także jeździ na występy ssakami ssącymi benzynę. Tym gorszymi, że nie można z nich zrobić tatara. Jak królowa dojedzie, to czyta, co „jej" rząd jej napisał. Stosuje mandaryńską angielszczyznę zrozumiałą tylko dla dziedzicznych lordów oraz absolwentów Oxfordu i Cambridge. Duda zaś tego, co ma mówić, uczy się na pamięć.

Już w drugiej połowie XIX w. państwa stawały się zbyt złożonymi mechanizmami, żeby mogły nimi rządzić ich głowy. Zaliczyłem książkę Grzegorza Kucharczyka o władcach Prus. Ich ostatnim królem, a też cesarzem Rzeszy Niemieckiej, był idiota i błazen Wilhelm II, który sam przed sobą udawał, że panuje. Przed I wojną Niemcami rządzili premierzy Prus i zarazem kanclerze cesarstwa. Gdy monarcha próbował w coś ingerować, kanclerz, ministrowie i nawet niscy urzędnicy klepali wiernopoddańczą formułkę. Żadnych życzeń władcy nawet nie rozważali. Jeszcze nie było komputerów, a już do rządzenia potrzebny był łeb Bismarcka. (Nieżelaznego prawnuka tego kanclerza i przyszłą głowę rodu wielokrotnie upijałem w moim domu). Premier Prus i kanclerz cesarstwa w jednym manewrować musiał w parlamentach Prus i Rzeszy. Oba wybierano zaś według odmiennych ordynacji, miały więc skład politycznie kontrastowy. Kanclerze cesarstwa musieli umieć kluczyć pomiędzy dziesiątkami państw Rzeszy – od królestwa Bawarii przez różne księstwa po państewka arcybiskupów i margrabiów. Każde z nich miało autonomię, odrębne prawa, samodzielną [illegible] podatki, sympatie, poglądy i autonomiczną armię. Choćby jak w księstwie Lippe, które wydało Himmlera, było to dziesięciu żołnierzy z sierżantem jako naczelnym wodzem.

Partytura rządzenia Niemcami była więc tak skomplikowana, a orkiestracja tak zmienna, że już wtedy byłaby nie do pojęcia dla Kaczyńskiego grającego na jednym prostym instrumencie – na nerwach.

Wkrótce „mapy drogowe" rządzenia będą tworzyć komputery i stale je przetwarzać. Kaczyński nie używa nawet drewnianego liczydła, na którym rachował książę Bismarck. Prezes kupuje i przetwarza ludzi, handluje nawet embrionami zombie. Podległym mu kanibalom każe żreć do syta. Bogów, w których wierzy, czyli biskupów, przekarmia produktami swojej fabryki słodyczy, czyli Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, wkrótce imienia 10 kwietnia, dawniej E. Wedel.

À propos Kościoła – przychodzi Żyd do rabina: – Rebe, ksiądz katolików mnie nachodzi po kolędzie. Co robić?

– Przyklej na drzwiach…

– Gwiazdę Dawida? Menorę?

– Nie. Przekreślony banknot.

URBAN

PRASA ŚNIADANIOWA

Piotr Semka apeluje, aby przypadek z Dąbrowy Górniczej był wyjaśniony do końca. Najlepiej w formie serialu na Netflix.

Senator PiS **Stanisław Karczewski** przyznał, że w ich kampanii było za dużo Tuska. Dokładnie, PiS wypromowało Grupę Rudego.

TVP Info poinformowała, że konflikt między Polakami a Romami eskaluje. Żydzi i Arabowie są chwilowo zbyt zajęci, aby uczestniczyć w konflikcie z Polską.

Jak informuje portal **Radiomaryja.pl**, w listopadzie po raz drugi rusza akcja „Czysty czyściec". Czy dusze Stalina i Hitlera zostały w końcu adoptowane?

Kaja Godek powiedziała, że PiS przegrał wybory z powodu gestów życzliwości wobec ulicznych awanturników. Gestem życzliwości było niewysłanie czołgów na protestujące kobiety.

3 listopada **Przemysław Czarnek** powołał Instytut Badań nad Renesansem i Barokiem im. Jana Kochanowskiego. Przypomnijmy, Jan urodził się w Czarnkolesie.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

I co będzie robić Andrzej po prezydenturze?

Facebook

Bartek Orzeł: Andrzejowi do końca życia zostanie opowiadanie, kim był. Bo będzie już nikim.
Krzysztof Gajewski: Będzie skręcał długopisy.
Maciej Dadej: Zawodowym łapaczem hostii w Toruniu zostanie.
Sztuczna inteligencja: Taniec z gwiazdami.
Eugeniusz Rezmer: Uczyć się dalej.
Marcin Grochala: Jak to co? Ping-pong, telewizja, godzinka spaceru, karty…
Hanna Grzegorczyk: Andrzejki będzie robił.
Marek Matyszczak: Piwko, rybki i powtórki meczy.
Piotr Pasieczny: Będzie podejmował takie decyzje, że…
Maciej Dadej: Zostanie kanclerzem Niemiec.
Wiktor Sn: Będzie grał Mussoliniego w produkcjach TV Republika.
Рад Резнор: Zależy, co prezes zdecyduje.

Forum

Arend: Będzie jeździł po centrach polonijnych i pierdolił głupoty.
BOG: Cały czas robił pod PiS, teraz będzie robił pod siebie.

eprasa.pl 177f73f476

Dajmy kobietom, do ciężkiej cholery, prawo do aborcji!

Skrobańcy

Rys. TOMASZ WIATER

Dr Paweł Szpot z Instytutu Badań Toksykologicznych Katedry Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu zapewne z mieszanymi uczuciami czytał numer „New York Timesa" z 14 września, w którym dość dokładnie opisano wynalazek, jakiego dokonał wraz ze swoim zespołem.

Cóż, większość naukowców chciałaby, aby pisano o nich w „New York Timesie", ale ten zaszczyt nie przytrafia się większości. Naprawdę zdarza się nielicznym. „NYT" opisywał innowacyjną metodę dr. Szpota wykrywania sztucznych poronień za pomocą chromatografii cieczowej w rezultacie testowania próbek krwi kobiety, która się takiemu zabiegowi poddała. Komunizujący „NYT" wspomina, że badania naukowe zostały opłacone przez państwo, czyli prawicowo-fanatyczne rządy PiS-u, na potrzeby organów ścigania, które zgodnie z polskim prawem powinny wsadzać za nielegalną aborcję do gułagów.

Trudno zgadnąć, czy doktor Szpot zgadza się z tą tezą, czy się nie zgadza. W opisie swojej metody zamieszczonym w szwajcarskim publikatorze naukowym pod tytułem „MDPI" nie tłumaczy, dlaczego podjął się prac nad drażliwym wynalazkiem. Czy Kaczyński go wynajął, czy może on wyszedł oczekiwaniom Kaczyńskiego i episkopatu sam naprzeciw? Może ulitował się nad niezręczną sytuacją organów ścigania, które – co tu kryć – nie bardzo lubią zajmować się podobnymi sprawami.

Szpot myli się w zeznaniach

Pan doktor tłumaczy się nielogicznie i pokrętnie. Na rynku jest dużo środków wczesnoporonnych wątpliwej jakości. Jego odkrycie miałoby w jakowyś sposób zapobiec dystrybuowaniu tego badziewia. Przyznacie, że nie ma to sensu.

Ale nie jest to jedyny bezsens. Zgodnie z polskim prawem niedopuszczalne jest badanie kobiet (nawet trafiających do szpitala z symptomami farmakologicznie usuniętej ciąży) pod kątem obecności w ich organizmie środków poronnych. Co więcej, zażywanie takich specyfików przez kobietę jest również legalne, więc dowód z testów na ich obecność miałby nikłe lub żadne znaczenie procesowe. Wbrew pospolitej opinii aborcja w Polsce nie jest karalna. Karalne jest pomocnictwo w aborcji. Można zatem wyobrazić sobie hipotetyczną sytuację, że organa ścigania za pomocą nielegalnie przeprowadzonego testu ustaliłyby, iż nielegalna aborcja miała miejsce. Metodami operacyjnymi chciałyby wyśledzić, kto dostarczył środek poronny, aby wsadzić dilera do więzienia. To też zakrawa na farsę. Wystarczy wpisać w wyszukiwarkę internetową „mifepriston" i bez żadnych badań na ofiarach sprawdzić, kto takie specyfiki oferuje.

Przyjmijmy inną wersję wydarzeń, mianowicie, że dr Szpot był wielkim przeciwnikiem PiS-u. Ponieważ „NYT" zaraził tą informacją media na całym świecie, a dotarła ona nawet do Polski na krótko przed wyborami, mogła zatem spowodować, że na PiS głosowało tylko 13 proc. kobiet w wieku rozrodczym. Najmniej ze wszystkich partii. Była to być może kropla, która przelała czarę goryczy. Absurdalny w gruncie rzeczy spór o aborcję zaszkodził Kaczyńskiemu jak nic innego.

Największy błąd PiS

Kiedy wszyscy kłamią, to wszystko staje się teatrem. W przypadku sporu o aborcję każda ze stron, jeżeli chodzi o prawdę, jest dość oszczędna. Widzi tylko te fakty, które są dla niej wygodne i utwierdzają ją we własnym poglądzie.

Tak zwane ruchy pro-life (przeciw aborcji) uważają, że problem jest straszliwy, bo zabija się rocznie szacunkowo 7–8 tys. nienarodzonych ludzi. Zwolennicy aborcji twierdzą, że jest znaaacznie gorzej. Hekatomba! Np. Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny utrzymuje, że w Polsce dokonywanych jest ok. 200 tys. nielegalnych aborcji. No to jest oczywiście strzał w stopę, bo rozumni i rozsądni ludzie, tak z lewa, jak i prawa, uważają co do zasady, że aborcja jest złem. Różnią się tylko w ocenie, czy powinna być ona dozwolona, czy zabroniona.

Aborterzy w swojej zapiekłości zapominają o tym drobiazgu, eksploatując przede wszystkim domniemanie, że setki tysięcy kobiet ryzykują życie, skrobiąc się w rzeźnickich warunkach.

Poza szacunkowymi danymi, opartymi na nie wiadomo jakich szacunkach, nie ma prawdziwych. Ale zaufajmy statystyce i prawu wielkich liczb.

W roku 1993, kiedy po raz ostatni można było w Polsce przeprowadzić aborcję na życzenie, przy zbliżonej liczebności społeczeństwa było tych zabiegów 1240. Od tamtego czasu liczba legalnych aborcji maleje. To pewnie oznacza, że nielegalnych trochę rośnie. Z danych policyjnych z 2020 r. (od wtedy obowiązuje rozszerzony katalog okoliczności, w których aborcja jest niedopuszczalna, przypieczętowany wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego; przestano publikować statystyki z zakresu wykrywalności przestępstw przeciwko art. 152 do 154 KK), wynika, że nielegalnych stwierdzonych aborcji mieliśmy 200.

Nie pomylę się zatem bardzo, jeżeli przyjmę, że w Polsce rocznie, realnie rzecz biorąc, jest 1500 przypadków aborcji. Dane zwalczających się stron są o tysiące procent przeszacowane. Biorąc pod uwagę, że 347 tys. kobiet zachodzi rocznie w Polsce w ciążę, nie mamy do czynienia ze zjawiskiem społecznym. Podnoszenie aborcji do tej rangi jest raczej problemem politycznym, medialnym i socjologicznym, czego zdaje się Kaczyński i inni nie zrozumieli dostatecznie i dogłębnie, sobie na pohybel.

Sedno sprawy

Oczywiście

kobietom chodzi nie tyle o skrobanie, ile o potencjalne prawo do skrobania, którego im się odmawia. Zapewne większość ze 100 tys. biorących udział w marszach czarnych parasolek w całym kraju nigdy się nie wyskrobała.

Zasadniczo kobiety chcą mieć dzieci, nawet te z przypadku i poczęte przez pomyłkę.

Jednak sam zakaz jest policzkiem, dyshonorem i potencjalnym ubezwłasnowolnieniem połowy społeczeństwa. Kolejnym poważnym problemem o traumatycznym wymiarze jest nazwanie spędzania płodu zabijaniem. Na 40 tys. kobiet, które z przyczyn naturalnych corocznie tracą ciąże, nakładana jest trauma, stygmat zabójczyń własnych dzieci. Mówienie o morderstwie płodu jest psychogenne. Kobieta zawsze może sobie zarzucić, że za mało spała, za dużo spała, za dużo jadła, za mało jadła, za mało się ruszała, za dużo się ruszała itd. To jest potwarz. Wszczepianie paranoi. Generalnie to, co PiS-owi przypochlebiającemu się Kościołowi kat. wyjść miało na dobre, wyszło jak najgorzej.

To się nigdy nikomu i nigdzie nie udało

Z ponad stuletnich prób zarządzania tempem wzrostu populacji ludzkiej lub jego kontroli, która co do fundamentów jest nieludzka (jakaś władza uzurpuje sobie prawo do decydowania o tym, czy będziesz miał lub nie miał potomka), wynika, że to się nie może udać.

PiS-owi się nie udało nie tylko przez jego antyaborcyjne stanowisko, które teoretycznie mogłoby wymusić urodzenia, ale nawet sztandarowy program 500+, który co do deklarowanej filozofii (choć niekoniecznie prawdziwej) okazał się klęską. Nie tylko faktyczną – przyrost naturalny spadł. Jest to również katastrofa moralna.

Doprawdy starać się kogoś przekupić kilkuset złotymi, aby zaszedł w ciążę, to było jakieś etyczne płaskostopie, moralny daltonizm, nowa forma prostytucji.

No ale powiedzmy: w latach powojennych (1957) z przyczyn depopulacyjnych spowodowanych wojną minister finansów niejaki Tadeusz Dietrich, człowiek o umysłowości komornika, którym przez pewien czas był, wprowadził bykowe, czyli podatek za nieposiadanie dzieci przez kobiety i mężczyzn w wieku prokreacyjnym. Teoretycznie podnosił on wymiar podatku o 20 proc., ale praktycznie na rozrodczość nie wpłynął. Księgowi twierdzili, że to dlatego, iż w PRL mało kto wiedział, że płaci podatki. Nie istniał obyczaj osobistego rozliczania się z urzędem skarbowym. Daniny naliczały, choć niekoniecznie odprowadzały, uspołecznione przedsiębiorstwa. Wynagrodzenie ustalane było na podstawie tak zwanego paska z wieloma pozycjami na ogół niezrozumiałymi dla przeciętnego zatrudnionego. W każdym razie populacja kraju przez 10 lat obowiązywania rozwiązania wzrosła, ale dzietność kobiet była mniejsza niż przed wojną.

W Europie żadne zachęty ekonomiczne (Niemcy, Dania), zwolnienia podatkowe (Francja) czy programy socjalne (Szwecja) nie wpłynęły na pożądany wzrost dzietności. Co paradoksalne, wzrost standardu życia popęd prokreacyjny zdaje się bardziej osłabiać niż stymulować.

Z innej strony. W regionach świata, gdzie przyrost naturalny jest zdaniem rządów zbyt duży, żadne programy nie zdołały go spowolnić. Chińczykom ongiś wpisano do konstytucji prawo do jednego dziecka. Posiadanie kolejnego dodatkowo sankcjonowano podatkowo. Oczywiście absurd, przeciętna chińska rodzina miała niewystarczające warunki życiowe, aby posiadać jednego potomka, zatem gdy miała ich dwóch, rząd jej jeszcze warunki wychowania progenitury pogarszał. Jak się zdaje, obecny przyrost naturalny Państwa Środka porównywalny z tym, jaki odnotowują Wielka Brytania i Francja, jest wynikiem coraz lepszych warunków życia. A te tak naprawdę nie mają wiele wspólnego – w każdym razie nie tak dużo, jak utrzymywałby premier Morawiecki – z polityką gospodarczą państwa.

Zawiodły również programy dobrowolnej odpłatnej kastracji i sterylizacji wdrażane przez rządy Pakistanu i Bangladeszu. Nie wpłynęły w żaden sposób na uśrednioną dzietność, mimo że wygenerowano kilkadziesiąt tysięcy eunuchów i niepłodnych kobiet. Badacze tego zagadnienia zauważyli, że w tych krajach pospolicie występujących cudów w każdej dziedzinie (lewitacja, bilokacja, materializacja przedmiotów z powietrza) sterylizacji poddawali się tylko ci, co i tak nie mieli faktycznego potencjału prokreacyjnego. Płacono bowiem za sam fakt zabiegu, nie sprawdzając wcześniej, czy kandydat na ojca lub matkę w ogóle jest do tych funkcji zdolny.

Władza nie ma żadnej możliwości kontrolowania urodzin. Nawet gdyby w Polsce zakazano sprzedaży prezerwatyw pod jakąś rozumną karą, np. 1500 zł, traktując ich nabycie na czarnym rynku jak wykroczenie, nie przybędzie nam rocznie 90 mln obywateli. Mniej więcej tyle wytrysków nasienia kończy w lateksie. Też byśmy sobie z tym poradzili metodą na Pornhuba (anal, oral itd.).

Z matematycznego punktu widzenia nie ma żadnej korelacji między polityką demograficzną a demografią. I bardzo dobrze! To oznacza, że świat jeszcze do końca nie zwariował, chociaż za lejce chwytają szaleńcy.

A jednak prokreują

Atoli jak zwykle jest jedna mała wątpliwość. Zgodnie z danymi upublicznionymi przez państwo Watykan przyrost naturalny tamże wynosi 0,00 proc. Mogłoby to świadczyć i miałoby to świadczyć, że księża zatrudniani przez papieża, którym programowo, doktrynalnie i eschatologicznie nie wolno mieć dzieci, rzeczywiście ich nie mają. Tylko że te dane wskazują również, że duchowni katoliccy w Watykanie nie umierają. Gdyby bowiem umierali, faktyczny przyrost naturalny musiałby być statystycznie ujemny, a nie zerowy, tak jak jest. Rozumiecie, o co mi chodzi?

ROBERT JARUGA

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Demokrata nie może czuć większej satysfakcji niż ta, której po wyborach dostarcza mu Mateusz Morawiecki. On już nie tylko robi z siebie głąba, on jest głąbem, głąbem głąbów, esencją głąbowatości. Poniża się i płaszczy tak, że niedługo ograniczy się do egzystencji tylko w dwóch wymiarach. Wstyd być Polakiem – należeć do społeczeństwa, którego premierem był taki baran jak Morawiecki.

Najnowszych powodów do tego wstydu dostarcza rozmowa z Marcinem Fijołkiem i Piotrem Witwickim z Interii.

Powód nr 1: „Zawsze byłem zwolennikiem kompromisu aborcyjnego sprzed trzydziestu lat. Złożenie wniosku do Trybunału Konstytucyjnego było błędem".

Powód nr 2: Odpowiedź „Tak" na pytanie dziennikarzy: „Wyobraża pan sobie sytuację, że jest pan w rządzie, którego premierem jest Władysław Kosiniak-Kamysz?".

Dziennikarzom należą się gratulacje za to, że zmusili Morawieckiego do pokazania prawdziwego durnego oblicza. Nawet jeśli musieli nakarmić go szalejem, upalić ziołem, upoić naparem z grzybków i potłuc, żeby pieprzył jak potłuczony.

eprasa.pl 177f73f476

A przez dziurkę piasek ciurkiem

Nonsens, czyli wybory.

Ostatnią ustawą, jaką przedłożył 28 września sejmowi obecny nieobecny już rząd, jest budżet państwa na rok przyszły. Nikt tego liczącego ponad 1500 stron wraz z załącznikami dokumentu nie zna. Niepragmatycznie byłoby się z tym zaznajamiać w sytuacji, kiedy powyborczy nowy rząd przedłożyć miałby i powinien projekt innego budżetu, korespondującego z programem partii go tworzących.

Zapewne po stronie twórców projektu budżetowego również nie ma nikogo, kto by to ogarniał. Jest to praca zbiorowa, podpisana wprawdzie przez Morawieckiego, ale autorstwa kilkudziesięciu osób z różnych resortów, którzy spisywali postulaty swoich szefów i dokładali do całości. Dzieło przeczytane zostało być może przez jedną korektorkę, chociaż z technicznego punktu widzenia redagujących językowo musiałoby być przynajmniej trzech.

Zdaniem podpisującego się pod tym dokumentem premiera jest to tekst bardzo dobry (ja też tak myślę o każdej swojej publikacji). Zdaniem ekspertów (Instytut Finansów Publicznych, Business Insider, „Rzeczpospolita") jest on bardzo zły, a do tego zakłamany.

Ci fachowcy też zapewne nie czytali tego dokumentu w całości. Koncentrują się na kilku parametrach, jak: za małe wpływy podatkowe, za duże wydatki, za duży deficyt, za duże koszty obsługi długu publicznego, za duże obecne zadłużenie państwa, prawdopodobnie realistyczny produkt krajowy oraz przeszacowany przyrost PKB w przyszłym roku. Co odważniejsi w tym liczeniu starają się uwzględnić jeszcze inflację. Nadzwyczaj słusznie, gdyż nie wspomina się o niej w ustawie ani słowem, a to ona w gruncie rzeczy jest największym bandytą niszczącym kulturę gospodarki. Niestety jednak przez indeksowanie rachunków dewaluacją pieniądza ich rozważania są jeszcze bardziej niezrozumiałe.

Największym złoczyńcą w tych scenariuszach jest dług państwa oszacowany na 1,5 biliona zł, którego koszt obsługi – to taki mniejszy złodziej pieniędzy budżetowych – może wynieść 70, a może 105 mld zł. Znaczy 20 proc. płaconych przez nas podatków.

Potem pojawiają się wszystkie te zarzuty o niemoralność obecnego pokolenia, które żyje na koszt swoich dzieci, którym przyjdzie dźwigać straszliwy ciężar spłaty kredytu państwowego. Nie będą bidule miały na artykuły pierwszej potrzeby: kredki, piwo i prezerwatywy.

Jest to postrzeganie problemu na podobieństwo macania słonia z zawiązanymi oczami. Ten, kto maca trąbę, uważa, że słoń jest trąbą. Ten, kto łapie go za nogę, uważa, że jest on podobny do kłody drewna, a temu, co uczepi się kła, wydaje się, że słoń jest całkowicie zbudowany z kości słoniowej. Zapewne też znalazłby się ktoś trzymający zwierzę za genitalia. Ponieważ wszyscy są ślepi i zbyt blisko, nikt nie ogarnia całości, aby wyjaśnić, jaki słoń naprawdę jest.

W tych rzekomo makroekonomicznych rozważaniach bowiem nikt nie mówi o tych, którzy byli tak odważni i tak majętni, żeby pożyczyć naszemu państwu 1,5 biliona zł z nadzieją, że na tym zarobią.

Nasze za nasze

Jeżeli wierzyć danym prezentowanym przez nadzór bankowy, okazuje się, że to nie Niemcy, Amerykanie, Żydzi czy Ruscy. 97,3 proc. tych pożyczek udzielił państwu nasz rodzimy system bankowy, który co do zasady kontrolowany jest przez państwo na mocy większościowego posiadacza akcji. To daje Radzie Ministrów prawo obsadzania stanowisk prezesów większości banków, łącznie z najważniejszymi.

A w tym systemie bankowym, jak łatwo sobie wyobrazić, tak naprawdę są nasze pieniądze. Zwykli obywatele mają na kontach 1,6 biliona zł. Pozostałe 1,5 biliona to środki przedsiębiorstw i instytucji.

Rys. BARTŁOMIEJ BELNIAK

W rzeczy samej, rządowi na wydatki pożyczyły nasze pieniądze nasze banki. Odbywa się to tak: Ministerstwo Finansów wypuszcza elektroniczne obligacje, które kupują banki za elektroniczną gotówkę. Bilansowo banki są w porządku. Miały forsę, mają obligacje tej samej wartości. Natomiast oczywiście wydaje się, że jest niebezpieczeństwo polegające na niewypłacalności sektora bankowego, gdybyśmy wszyscy chcieli zabrać akurat z kont naszą wcześniej tam wpłaconą forsę.

Tak się jednak nie zdarzy, albowiem faktyczne zapotrzebowanie naszej gospodarki i społeczeństwa na złotówki wynosi około 40 mld zł dziennie. Tyle potrzebuje nasz system bankowy, aby obsłużyć nasze wszystkie zakupy, opłaty i wydatki, które to pieniądze już następnego dnia znowu znajdują się w tym systemie. Przy najbardziej niekorzystnym obrocie spraw, a za taki uważa się sytuację, kiedy pobrana z jednego konta kwota nie zostanie zaksięgowana na innym koncie w ciągu trzech dni, aby zachować płynność rozliczeń, system bankowy potrzebuje w gotowości 120 mld zł dziennie. Przy kapitalizacji tego systemu na poziomie ponad 2 bilionów jest to w gruncie rzeczy kwota nieznaczna, żeby nie powiedzieć pomijalna.

Ogólnie rzecz biorąc, zadłużenie państwa, które sięga naszych oszczędności, nie jest żadnym niebezpieczeństwem. Co więcej, poziom długu publicznego, który szacuje się na 45 proc. PKB w takiej sytuacji jak nasza, jest również bez większego znaczenia. Są kraje rozwinięte (pozaeuropejskie), gdzie wynosi on ponad 100 proc.

Poziom nad poziomy

Skoro tak zwani eksperci snują różne czysto teoretyczne spekulacje na temat bezpiecznego poziomu zadłużenia, to ja również czysto teoretycznie zapytam: jaki jest bezpieczny poziom zadłużenia firmy o kapitale 10 mln zł? 20 mln? 30 mln? Gdzie jest powiedziane, że dług firmy nie może przekraczać 150-krotności jej wartości? Jak można stwierdzić, że pożyczone przez nią pieniądze nie zostaną efektywniej wykorzystane, dając większy zwrot niż lokata bankowa? Tak naprawdę nie ma na to żadnego algorytmu i rozsądnej odpowiedzi. Wszystko zależy od jakości kierownictwa takiej organizacji i trafności podejmowanych decyzji.

Nie jest zatem istotne, czy sygnalizowany w ustawie budżetowej dług państwa wynosi 1,5 biliona zł, czy będzie wynosił 2,5 biliona zł, jak straszą prognostycy.

Pieniądze są bez wartości w skali makro. Jedynie ich rozsądna lub głupia alokacja świadczyć może o tym, czy budżet ogłoszony do klepnięcia przez sejm, podpisany przez Morawieckiego wart jest realizacji.

Sensowne, neutralne, absurdalne

Rozdysponowane przez Morawieckiego środki można podzielić na: konieczne koszty funkcjonowania państwa, pożądane inwestycje oraz inwestycje, które są wyrzuceniem pieniędzy w błoto.

Największym problemem Rumunii lat 80., która jako jedyna na świecie zdecydowała się na spłatę całego swojego zadłużenia zagranicznego – bo innego nie miała – nie było to, że pożyczono, ale to, że państwo jako jedyny szef gospodarki inwestowało kredyty w nieefektywne przedsięwzięcia, głównie w niepotrzebny przemysł ciężki. Skończyło się to rozstrzelaniem przywódcy i dostępem do prądu raz w tygodniu.

Problem z tym budżetem jest taki, że wydatki nie są zhierarchizowane według schematu: sensowne, neutralne, absurdalne, tylko reprezentowane są przez 5 tys. pozycji takich jak np. Budowa Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL za 12 mln zł, budowa kampusu Akademii Muzycznej im. Feliksa Nowowiejskiego w Bydgoszczy za 161 mln zł. Za dużo, za mało, a może w sam raz?

Program budowy hal sportowych na 100-lecie występów Polski na igrzyskach olimpijskich za 1,8 mld zł. Potrzebne czy do kosza? Czy na rozwój talentów informatycznych powinniśmy wydatkować 9 mld zł? Czy potrzebne jest nam Rozpoznanie Geologiczne Oceanów? Czy w policji wystarczy 108 909 etatów w jednostkach organizacyjnych, czy może wystarczyłoby nam 96 tys., jeśli zredukowałoby się przede wszystkim zbędną drogówkę? No i czy „kwota wydatków na prewencję rentową, o których mowa w art. 57 ustawy wymienionej w art. 19, wynosić powinna 321 mln zł"?

Rozróżnienie między wydatkami rozsądnymi, koniecznymi, przeszacowanymi i tymi zupełnie z czapy będzie niezwykle trudne. Tym trudniejsze, że np. wydatki na Port Lotniczy Baranów warunkowane są przez dodatkową ustawę, której zatwierdzenie budżetu nie anuluje. Podobnie jest z projektem samochodu Izera, energetyką jądrową, wydatkami na wojsko w sile 159 mld zł. Niektórych z najbardziej toksycznych kosztów w ogóle w budżecie nie ujawniono, gdyż pochodzą ze środków będących w dyspozycji rządu i poza kontrolą sejmu.

Co powie Duda

Jest problem. Zgodnie z procedurą najpierw prezydent powoła premiera Morawieckiego, potem ten nie uzyska wotum zaufania, wtedy sejm wyłoni następnego. Ów sformuje rząd i desygnuje ministra finansów, który powinien opracować nowy budżet lub pozostać przy starym. Budżet musi być zaakceptowany przez nowy rząd. Przedłożony sejmowi w formie propozycji ustawy, gdzie zasiądzie 117 nowych posłów, którzy nigdy w życiu nie przeczytali żadnej ustawy. Technicznie rzecz biorąc, są to działania awykonalne do 1 lutego, kiedy Duda zgodnie z prawem powinien podpisać ustawę budżetową lub zażądać rozwiązania sejmu i nowych wyborów.

Chodzi zatem nie o to, aby wsłuchiwać się w narzekaczy, poprawiaczy i mądrali, którzy widzą nieważne, nadając mu wymiar doniosłości, a ich jedynym pomysłem na uzdrowienie finansów państwa jest powrót do konstytucyjnego wymogu administrowania nimi, czyli pod okiem sejmu, ale szukać tego diabła, którego Morawiecki ukrył w szczegółach.

Może się zatem okazać, że noworządcy zmuszeni zostaną do realizacji czysto pisowskiego budżetu, czyli faktycznej realizacji polityki Kaczyńskiego lub kolejnych wyborów. Dobrej opcji tak naprawdę nie ma.

ROBERT JARUGA

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

*Prawica powinna jednoznacznie opowiadać się **za prawem do życia.** Przy czym nie chodzi tylko o zasłanianie się wiarą i zdawkowe stwierdzenia, że są za „jako katolicy", ani też o pomstowanie na aborcjonizm naszych oponentów. Chodzi o przekonywanie, bo opinia publiczna musi wiedzieć, że to **my bronimy sprawiedliwości** i godności ludzkiej i że jesteśmy pewni naszych racji.*

Marek Jurek, Fronda.pl, 6 listopada

*W Krakowie Zaduszki Żołnierzy Wyklętych-Niezłomnych. Pamiętamy! Przekazujemy w depozyt młodym ludziom pamięć o nich i ich czynach. Tę wiedzę chcą pogrzebać koalicjanci KO–Trzeciej Drogi–Lewicy, zapowiadając **likwidację HiT w szkołach.** Nie pozwólmy na zakłamywanie historii.*

Barbara Nowak, małopolska kurator oświaty, X, 5 listopada

***W szkole bez lekcji religii,** zapowiadanej przez opozycję, uczniowie już nie usłyszą na żadnym przedmiocie, że aborcja i eutanazja są morderstwem. Nie będą mieli powodów i argumentów, aby chronić i ratować życie swoich dzieci i własnych rodziców.*

Nowak, X, 7 listopada

***PiS przegrał,** bo rozjechał się w sprawach fundamentalnych, m.in. w **sprawie ochrony życia.** […] Szczególnie od wyroku Trybunału Konstytucyjnego w październiku 2020 r. mieliśmy do czynienia z serią jawnych bądź zakamuflowanych działań mających na celu rozszczelnienie obrony życia w Polsce, i ludzie to zauważali. Czasem były to sytuacje tak jaskrawe, że naprawdę nie dało się tego przeoczyć. Mam na przykład na myśli moment, w którym większość sejmowa odrzuciła w marcu projekt ustawy Aborcja to zabójstwo, a już następnego dnia rządzący zaangażowali się w obronę Jana Pawła II przed atakami lewicy. Było to olbrzymie zderzenie przeciwstawnych światów.*

Kaja Godek, PCh24.pl, 7 listopada

*Kiedy zdarza się **nieszczęście,** a to **przydarzyło się Polakom 15 października** bieżącego roku, dominują dwa rodzaje zachowania. Pełne załamanie (wszystko stracone!) i próba odrzucania od siebie oczywistej oczywistości (statystycznie rzecz biorąc, wygraliśmy, głosowało na nas blisko osiem milionów). […] Dzisiejszy program pozytywny to przede wszystkim trwanie przy swoim, przy wartościach, ideach, programach. Może chwilowo, może trochę dłużej. Nasze zadanie to służenie wspólnocie narodowej, wartościom chrześcijańskim i interesowi narodowemu.*

Marcin Wolski, Niezależna.pl, 7 listopada

*Dynamiczna historia ostatnich trzech lat przekonuje, że zawsze może przylecieć i czarny łabędź – nieoczekiwane zdarzenie, zazwyczaj negatywne, które zmienia oblicze polityki (covid, inwazja rosyjska), a wtedy lepiej, by kolejny jeździec Apokalipsy zastał w polskiej KPRM Morawieckiego, a nie Tuska. Są jednak inne powody, by Tuskowi powierzyć misję tworzenia rządu jak najpóźniej. […] Z punktu widzenia **polskiej racji stanu** wszelkie opóźnienia procesu centralizacji Unii Europejskiej mają sens. […] Tuskowi zegar odlicza kolejne dni i tygodnie na bezsilności wobec **wciąż trwającej władzy PiS.***

Jakub Maciejewski, wPolityce.pl, 5 listopada

*Niestety, obawiam się, że lewica do spółki z radykalną lewicą, które teraz utworzą rząd, przychodzą na bardzo dobrze przygotowany grunt – przygotowany przez lata zaniedbań w sferze legislacyjnej, w sferze świadomości społecznej. Jesteśmy tak naprawdę w przededniu **ogromnej bitwy ideologicznej,** bitwy z radykalną, silnie zideologizowaną lewicą.*

dalej Godek

*Gdyby PiS po wyroku TK bronił tego orzeczenia, szybko je opublikował, prowadził kampanię społeczną na rzecz ochrony życia, nie prowadził „negocjacji z terrorystą", czyli liderami ulicznych awantur, to stałby się **politycznym liderem pro-life** i skupił wokół siebie środowiska katolickie i obrońców nienarodzonych. W momencie zaś gdy zaczął przepraszać, że taki wyrok został wydany, to tym liderem być po prostu przestał. Ludzie przestali orientować się na PiS, a dalej było już coraz gorzej. Warto odrobić tę lekcję i przyjąć do wiadomości, że jednak **elektorat katolicki** jest i coś znaczy – chociaż oczywiście kładzie się mu kłody pod nogi, traktując nas trochę, jakbyśmy psuli atmosferę.*

Godek

WYBRAŁ KLECHA

eprasa.pl 177f73f476

Wysłuchajcie Morawieckiego!

O konieczności zachowania czujności.

Politycy – jeszcze – opozycji i antypisowski komentariat prześcigają się w tym, kto mocniej i oryginalniej dowali Dudzie i Morawieckiemu w związku z tym, że ten pierwszy namaścił tego drugiego na premiera. Z oryginalnością jest raczej słabo: wyłaniają się dwie główne teorie. Pierwsza: że Duda jest pokornym funkcjonariuszem PiS i przedkłada interes partii nad interes Polski oraz wolę wyborców. I druga, zgoła przeciwna: że prezydent tak naprawdę działa wbrew interesowi PiS, bo chce przejąć schedę po Kaczyńskim i dlatego „perfidnie" wmanewrował obecnego premiera w „upokarzającą" klęskę, żeby osłabić konkurencję. Jest też trzecia, która łączy te dwie pierwsze: że Duda chce po zakończeniu kadencji zostać szefem PiS, więc pokazuje partii swoją lojalność, ze szkodą dla Polski.

Cel ćwiczenia

Dodatkowo, ponieważ głównym zadaniem antypisu nadal jest pokazywanie, że PiS jest nie tylko zły, ale też głupi – powoli wyłania się narracja, mówiąca o tym, że prezydent niechcący działa w interesie opozycji, bo daje jej więcej czasu na dogadanie; choć natychmiast należy nadmienić, że czasu tego nie potrzeba, albowiem dogadywanie się idzie świetnie. Ta narracja nieco kontrastuje z wcześniejszym lamentem, że czasu nie ma i nowy rząd musi jak najszybciej przystąpić do ratowania Polski oraz załatwiania kasy w Brukseli, bo katastrofa postępuje. W tym miejscu koniecznie należy dodać, że prezydent dał pisowcom czas na niszczenie dowodów, ale to się nie uda, bo w przyrodzie nic nie ginie, więc jedyne, co im się uda, to pobrać pensje o miesiąc dłużej. I ewentualnie przepchnąć jakieś nominacje i wyprowadzić jakąś kasę z budżetu, ale to nowy rząd cofnie w majestacie prawa.

Do tego wszystkiego doszła w ostatnich dniach nowa nadzieja: że Mateusz Morawiecki połapie się w pułapce, którą zastawił na niego Andrzej Duda, i gdzieś po drodze zrezygnuje z misji utworzenia rządu, żeby uniknąć „upokorzenia" w postaci przegranego głosowania w sejmie. To myślenie życzeniowe zyskuje coraz więcej zwolenników. Moim zdaniem jest to przejaw zbrodniczej naiwności. Celem całego tego ćwiczenia jest właśnie doprowadzenie do sytuacji, w której Morawiecki wygłosi w sejmie exposé, a opozycja zagłosuje przeciwko jego nowemu rządowi.

Exposé mleka i miodu

Prawo i Sprawiedliwość nigdy nie było powściągliwe w obietnicach – a już tym bardziej nie będzie, wiedząc, że nie będzie musiało ich realizować.

Exposé Mateusza Morawieckiego na lata 2024–2027 przedstawi kraj miodem i mlekiem płynący, z inflacją na poziomie 2 proc., wzrostem PKB w okolicach 10 proc., 15., 16. albo i 20. emeryturą, stałą waloryzacją 800+, podwyżkami dla strefy budżetowej, pieniędzmi z Brukseli, reparacjami z Niemiec, 120 mln pasażerów CPK i co komu w duszy zagra.

Po czym PiS pieczołowicie spisze nazwiska wszystkich posłów, którzy zagłosują przeciwko tej pięknej wizji. i przez najbliższe cztery lata będzie budować swój opozycyjny przekaz na haśle „a mogło być tak pięknie". PiS nie będzie „opozycją totalną", tylko „zmarnowaną szansą": obecna już narracja o tym, że Prawo i Sprawiedliwość wygrało wybory po raz trzeci, zostanie uzupełniona opowieścią o spisku opozycji, która zakwestionowała wybór Polaków, żeby nie dać im tego, co im się należy.

I opozycja musi być na to przygotowana – bo to rodzaj narracji, z którą będzie walczyć bardzo trudno. Za każdym razem, kiedy nowy rząd – w którym gospodarką, jak się zdaje, będą rządzić dość prymitywni monetaryści w stylu maklera Andrzeja Domańskiego, głównego doradcy Tuska „ds. gospodarczych i programowych" – powie Polakom, że trzeba zacisnąć pasa, PiS z radością ogłosi, że pod jego rządami to by się nie wydarzyło.

Głosują i wymagają

A Polacy przez czas rządów PiS nauczyli się postawy „głosuję i wymagam". Przy wszystkich obrzydlistwach ostatnich ośmiu lat trzeba przyznać (tym bardziej że już można), iż aktywna polityka socjalna rządu PiS poprawiła jakość życia bardzo wielu Polaków, którzy wcześniej tkwili w biedzie: rodzin wielodzietnych, pracowników zatrudnianych za pensję minimalną lub na godziny, najuboższych emerytów. I to jest, w moim przekonaniu, przyczyna ciągu wyborczych sukcesów Prawa i Sprawiedliwości w latach 2015–2020: ludzie głosowali portfelem, czyli na politykę socjalną PiS, nawet jeśli reszta pisowskich działań cokolwiek ich brzydziła.

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Po ośmiu latach powab tej polityki nieco się zużył, inflacja dała się we znaki, zwłaszcza najuboższym, i obrzydzenie wzięło górę; warto jednak pamiętać, że PiS słusznie mówi, że „wygrał wybory" – w tym sensie, że nadal ma więcej zwolenników niż jakakolwiek inna formacja. Jeśli nowa władza w wyraźny sposób odejdzie od tej polityki socjalnej, którą ludzie uznają za prawo nabyte i niepodlegające dyskusji, najbliższy ciąg wyborów będzie okazją do wyrażenia niezadowolenia. A ciąg jest długi – w latach 2024–2025 czekają nas wybory samorządowe, europejskie i prezydenckie – więc niezadowolenie może być dla nowej władzy bolesne.

Jeśli opozycja chce uniknąć przyszłej klęski, musi – w mojej opinii – zrobić dwie rzeczy.

Słuchać, nie gadać

Po pierwsze: bardzo pilnie wsłuchiwać się w to, co powie Mateusz Morawiecki w swoim niepotrzebnym exposé, i poważnie zastanowić się, które prospołeczne rozwiązania można wykorzystać. Co więcej, warto to zrobić z otwartą przyłbicą, mówiąc wprost, że są to propozycje Morawieckiego, co może nastawić życzliwie do nowego rządu część pisowskiego elektoratu, która obecnie ma poczucie wykluczenia.

I po drugie: przestać wreszcie opowiadać bzdury o „wielkiej ukrytej dziurze budżetowej", której po prostu nie ma; sytuacja polskiego budżetu jest jawna, zna ją Eurostat, znają ją krajowi ekonomiści, jak choćby ci zrzeszeni w Polskiej Sieci Ekonomii. Sytuacja ta nie jest doskonała, ale nie jest też fatalna i na pewno nie uzasadnia radykalnych cięć programów społecznych. Choć mogłaby skłonić nowy rząd do spowolnienia działań na rzecz ubogacenia klasy średniej, takich jak 60 tys. zł wolnych od podatku czy powrót do zryczałtowanej składki zdrowotnej, na której zyskiwali głównie menedżerowie na B2B, którzy od dochodu rzędu kilkudziesięciu czy kilkuset tysięcy płacili 400 zł na NFZ; mniej niż nauczycielka na etacie.

Legendy o tym, że – jak wdzięcznie ujął to red. Piasecki z TVN24 – „budżet zieje dziurami, które wyją i krzyczą, i pytają, czym pokryjecie zobowiązania", są nie tylko nieprawdziwe, ale także szkodliwe. Powrót do polityki cięć na koszt większości społeczeństwa przy jednoczesnym dopieszczaniu zamożniejszej mniejszości to gwarancja klęski rządu koalicji PO–Trzecia Droga–Lewica i otwarcie drzwi dla powrotu PiS.

Żeby zacytować klasyka: nie idźcie tą drogą.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Zgoda zrujnuje

Gdy pali się koło dupy, kler staje się wzorem tolerancji.

Wygrana opozycji jest polskim funkcjonariuszom Kościoła kat. nie w smak – to truizm. Warto jednak zwrócić uwagę na rozpaczliwe próby odnalezienia się w nowej rzeczywistości. Jak pisowcy zapałali nagle miłością do PSL, tak hierarchowie w popłochu wzywają do narodowej zgody i pojednania, w domyśle: potraktowania ich z dotychczasową pobłażliwością i hojnością.

• • •

Sprawa jest poważna. „Gość Niedzielny" – jedno z najważniejszych pism polskich katolików – piórem Andrzeja Grajewskiego zastanawia się nad powyborczym pejzażem w sferze relacji państwo–Kościół. „Relacje Kościół–państwo nie były tematem wyborczej debaty, ale pomysły na nowe regulacje z tego obszaru znalazły się w programach partii, które uformują wkrótce nowy rząd. Pod hasłem walki o świeckie państwo będziemy mieć do czynienia z próbą zmiany wielu rozwiązań przyjętych po 1989 r." – czytamy w tekście pod znamiennym tytułem „Relacje Kościół–państwo po wyborach. Czas trudnych rozmów". Już sama konstrukcja „relacje Kościół–państwo" użyta przez redakcję „Gościa Niedzielnego" pokazuje, kto w tej zbitce ma pierwsze miejsce i czyje interesy są ważniejsze. Jeszcze do nich nie dotarło – albo są w fazie wyparcia – że tym razem hierarchia negocjacji jest inna niż dotychczas.

• • •

Na Tuskowym Marszu Miliona Serc Włodzimierz Czarzasty w płomiennej przemowie wyliczał: „Marzę o Polsce, w której jest państwo świeckie. Marzę o tym, żeby kler nigdy nie mówił nam, co mamy robić, kogo kochać i w jaki sposób. Tym bardziej że te rady płyną z Dąbrowy Górniczej". Czarzasty mówił, że chce, aby kler płacił podatki. „Chcę, żeby pedofil był przenoszony z parafii do więzienia, a nie z parafii do parafii. Chcę, żeby kler nie dostawał ziemi za darmo, którą potem sprzedaje Mateuszowi Morawieckiemu. Chcę, żeby kler trzymał ręce z daleka od kobiet. Wara od kobiet!"

I doczekał się aplauzu od mieszanego przecież pod względem orientacji partyjnej tłumu. Fakt, że takie postulaty wygłosił postkomunista Czarzasty, stanowi nową jakość w III RP.

• • •

„Pod hasłem walki o świeckie państwo będziemy mieć do czynienia z próbą zmiany wielu rozwiązań przyjętych po 1989 r." – napisał wspomniany redaktor „Gościa Niedzielnego". Ma rację, choć po upadku PRL to Kościół kat. miał w rozmowach przewagę i dostawał, co chciał. Dlatego że albo rządzili świętsi od papieża, albo postkomuniści, którzy nie chcieli klerowi podpadać ze względu na własną przeszłość, którą mogli im wypomnieć – cieszący się wówczas sporym posłuchem – biskupi. Albo gdy politycy chcieli coś ugrać, np. poparcie starań wejścia do UE – też podlizywali się księżom. Co padało z ambony, miało jakąś wartość. Dziś sytuacja jest diametralnie inna i tę odmienność czują w powietrzu kuci na cztery łapy biskupi.

Rys. TOMASZ WIATER

• • •

Uderzyli w tony zgody narodowej. Idea piękna, niepodejrzana, ale w ustach ludzi, którzy reprezentują instytucję utrwalającą podziały, brzmi – delikatnie mówiąc – nieprzekonująco. Na front medialny wydelegowano kard. Kazimierza Nycza – hierarchę niekojarzącego się zbyt politycznie, uchodzącego za przedstawiciela liberalnego skrzydła episkopatu. W wywiadzie dla KAI metropolita warszawski snuje taką refleksję: „Podziały są bardzo głębokie, ale nie jest to tylko kwestia tej kampanii. To narastało przez całe lata. A kto nas poskleja? Odpowiedzialność za to powinni wziąć na siebie głównie ci, którzy nas rozkleili i poróżnili. Niech do tego na pierwszym miejscu zabiorą się politycy, a potem ludzie kultury, nauki, a więc, w pewnym sensie, przywódcy tego społeczeństwa. Oczywiście Kościół też w ten proces powinien się włączyć. Wszyscy muszą przy tym założyć, że to jest praca na dziesiątki lat". Aż oczy bolą patrzeć, jak się przemęcza w imię budowania zgody narodowej hierarchia kościelna.

• • •

Tuż po wyborach na profilu abepe Marka Jędraszewskiego na portalu X, czyli dawniejszym Twitterze, pojawił się następujący cytat z niego: „Budowa prawdziwej wielkości, zarówno osobistej, jak i tej w wymiarze społecznym i ogólnonarodowym, zaczyna się od gotowości do szczerego wyciągnięcia ręki na zgodę". Nie jest to konto prowadzone przez samego Jędraszewskiego, tylko przez jego „fanclub". Ale w kontekście tego hierarchy pisanie o wyciąganiu ręki na zgodę brzmi wyjątkowo bezczelnie. Chyba że chodzi o wyciąganie ręki na zgodę na otrzymanie dotacji lub odznaczenia państwowego. Zgodę to on może sobie wyrazić najwyżej na niejedzenie mięsa w piątek, gdy przypada święto. Przy okazji warto wspomnieć, że abepe Jędraszewski głos w ostatnich wyborach oddał w swojej prawdziwej ojczyźnie, czyli w Rzymie.

• • •

W najbliższym czasie będziemy zapewne przez kler bombardowani miłością, apelami o zakończenie wojny polsko-polskiej i narodowe pojednanie im. Jana Pawła II. Wszystko po to, aby utrzymać dotychczasowy stan rzeczy: żeby nie było żadnych rozliczeń, a jeżeli już, to w złotówkach lub euro na konto parafii.

Gdyby jednak jakimś cudem zwycięska koalicja poważnie zabrała się do realizacji przedwyborczych obietnic o uporządkowaniu relacji państwo–Kościół, to niebawem ten ugodowy ton się skończy i zobaczymy prawdziwe oblicze biskupów oderwanych od koryta. Tego koryta.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

eprasa.pl 177f73f476

Zróbcie na złość Kaczyńskiemu

Nauczcie się liczyć. Także na siebie.

Rys. JANUARY

Prezydent Andrzej Duda mocno się krygował, opowiadając, że myśli, ale wszystko wskazuje na to, że po raz pierwszy w historii III RP największa sejmowa partia nie będzie sprawować władzy. To stwarza bezprecedensową okazję do naprawienia polskiego systemu wyborczego, a nawet więcej: politycznego, co dotychczas było niemożliwe, bo najwięksi mieli większość.

D'Hondt do kosza

Obecna ordynacja wyborcza, z pięcioprocentowym progiem i systemem D'Hondta, została wprowadzona w 1993 r. przez sejm wybrany w roku 1991, czyli według ordynacji stricte proporcjonalnej, bez D'Hondta i progów. Polska scena polityczna cierpiała wówczas na dziecięcą chorobę pluralizmu, czyli szalone rozdrobnienie i w efekcie do sejmu weszły 24 ugrupowania. Rzeczywiście zrobił się lekki burdel, co skłoniło posłów do zaakceptowania radykalnych środków na rzecz uporządkowania i konsolidacji polskiej sceny politycznej.

Już wtedy zresztą byli tacy, którzy krytykowali ten pomysł jako niezbyt demokratyczny. Pamiętam, jak Karol Modzelewski w telewizyjnej dyskusji z którymś z braci Kaczyńskich mówił o tym, że należy zadać sobie pytanie, czy ordynacja wyborcza powinna być skonstruowana dla wygody rządzących, czy rządzonych.

Klasa polityczna, niezaskakująco, zdecydowała się na to pierwsze rozwiązanie: zamiast skonstruować ordynację tak, żeby skład parlamentu jak najlepiej oddawał wolę wyborców, skonstruowano ją tak, żeby łatwiej było tworzyć rząd. Rzecz w tym, że taka konstrukcja nie ma wiele wspólnego z demokracją, o czym bardzo boleśnie przekonaliśmy się przez ostatnie osiem lat. W 2015 r. PiS zdobyło 37,5 proc. głosów – co powinno oznaczać 173 mandaty, a tymczasem D'Hondt i nieprzekroczenie progu przez obie lewicowe listy dało Kaczyńskiemu 235 posłów, co w zestawieniu z pisowskim prezydentem oznaczało władzę absolutną. W 2019 r. PiS dostało 43,59 proc. głosów, co powinno się przełożyć na 200 mandatów – a tymczasem znów było ich 235. Oczywiście druga strona D'Hondta jest taka, że mniejsze ugrupowania, nawet jeśli przekroczą próg, nie otrzymują tylu mandatów, ile dali im wyborcy. W nowym sejmie Lewica ze swoim wynikiem 8,6 proc. powinna mieć 40 posłów, a ma ich zaledwie 26. Nawet Trzecia Droga straciła na D'Hondcie, choć mniej, bo tylko jeden mandat.

Demokracja potyka się na progu

Do nieproporcjonalnego rozdziału mandatów przyczynia się także wysoki próg wyborczy: 5 proc. dla partii i 8 proc. dla koalicji. Realnie ten próg jest dużo wyższy: przy podziale na 41 okręgów liczących 7 do 20 mandatów, w największych z nich próg naturalny wynosi 6–7 procent, a w najmniejszych może przekraczać 10 proc. I znów: kiedy rozwiązania te wprowadzano w 1993 r., być może miało to sens, ale dziś nie ma już żadnego. Naszym problemem nie jest to, że mamy za dużo partii, tylko to, że jest ich niejako za mało: że wielu wyborców nie odnajduje się w duopolu. W tym roku szczęśliwie mimo potężnych nacisków ze strony platformerskich harcowników mniejsze partie zaparły się przy samodzielnym starcie, co spowodowało, że oferta polityczna była dość szeroka. Dodatkowo obawa przed powtórzeniem sytuacji sprzed ośmiu lat – kiedy dwie antypisowskie listy znalazły się pod progiem, na czym najwięcej zarobiło PiS – wywołała prawdziwy pakt o nieagresji, a nawet skłoniła niektórych przedstawicieli opozycyjnego hegemona, jakim jest PO, do zachęcania wyborców do głosowania na opozycyjną konkurencję. Trudno jednak liczyć na to, żeby taka sytuacja stała się normą.

Dotychczas zmiana systemu promującego największych i zniekształcającego wolę wyborców była niemożliwa, ponieważ zarabiali na nim zwycięzcy wyborów, którzy mieli dość głosów, żeby system ów obronić. Raz, pod koniec rządów AWS, upadająca prawicowa większość w próbie zatrzymania triumfalnego pochodu Leszka Millera do władzy zmieniła system liczenia głosów na bardziej proporcjonalną metodę Sainte-Laguë, co rzeczywiście kosztowało SLD samodzielną większość. Nawiasem mówiąc, Miller przywrócił D'Hondta – była to jedna z pierwszych ustaw przegłosowanych przez nowy sejm – i chichot historii polega na tym, że lewica już nigdy na nim nie zyskała. We wszystkich kolejnych wyborach od 2005 r. wynik SLD i jego następców umieszczał lewicę po stronie partii tracących na D'Hondcie.

Nieustanna kłótnia lepsza od zamordyzmu

Tzw. opozycja demokratyczna dużo mówiła w tej kampanii o konieczności wmontowania bezpieczników, które uniemożliwiłyby powtórzenie scenariusza totalnego zawłaszczenia państwa przez zwycięzcę wyborów. Wprowadzenie zasady rzeczywistej, a nie tylko teoretycznej proporcjonalności w wyborach wydaje się oczywistym mechanizmem: nikt nie powinien mieć samodzielnej większości w sejmie, jeśli nie dali mu jej wyborcy. To stworzy konieczność porozumiewania się, usunie pokusę arogancji, która dotykała wszystkie partie wygrywające wybory po 1993 r. Kiedy Jarosław Kaczyński mówi, że nowy rząd „składający się z co najmniej 11 partii" to „będzie nieustanna kłótnia, starcie grup, starcie indywidualności", to ja się bardzo cieszę. Ostatnie osiem lat pokazało, jak śmiertelnie niebezpieczna jest władza, która nie musi się liczyć z nikim i z niczym.

Zdecydowanie wolę rząd, w którym decyzje rodzą się w drodze porozumienia, niż monowładzę jednego faceta o paranoidalnym umyśle z sejmem sprowadzonym do roli maszynki do głosowania.

Zmiana sposobu przeliczania głosów na mandaty na proporcjonalny, a także usunięcie lub znaczne obniżenie progu wyborczego przyniesie wyższą reprezentatywność następnych sejmów, a także uchroni nas w przyszłości przed spisieniem władzy: nikt, kto nie przekona do siebie wyraźnej większości Polaków, nie będzie mógł powiedzieć, że „państwo to ja".

A jak dowodzi doświadczenie z ostatnich 33 lat, prawdopodobieństwo, że ktoś zdobędzie więcej niż 50 proc. głosów, jest raczej minimalne, co oznacza, że władza będzie musiała się liczyć także z tymi, którzy na nią nie głosowali.

Do kompletu warto byłoby usunąć ordynację jednomandatową do senatu. Pakt senacki okazał się już dwa razy drogą do zdobycia izby wyższej, ale powiedzmy sobie szczerze, że z demokracją nie ma on wiele wspólnego. Demokracja liberalna naprawdę nie polega na tym, że partie umawiają się między sobą i mówią wyborcom: albo robicie po naszemu, albo wypierdalać. O tym, kto zasiada w izbie wyższej, powinni decydować wyborcy przy urnach, a nie partie w tajnym negocjacjach. Przywrócenie dawnych okręgów, mających od dwóch do czterech mandatów – albo nawet zwiększenie ich do poziomu województw – sprawiłoby, że o składzie izby rzeczywiście decydowałby suweren, a spora część głosów nie lądowałaby w koszu, tak jak to się dzieje obecnie. Dziś jest to często więcej niż połowa oddanych głosów – zwłaszcza jeśli w danym okręgu kandydatów jest troje lub więcej.

Kandydat jak proszek do prania

No i wreszcie kompletnie nie ma powodu, dla którego subwencje partyjne powinny być zależne od liczby zdobytych głosów, a w efekcie – od wielkości klubu parlamentarnego. To z pozoru wygląda logicznie, ale tak naprawdę jest sposobem na zabetonowanie sceny politycznej, tak aby duzi stawali się coraz więksi, a mali maleli. Liczba posłów decyduje o wielu rzeczach: obok najważniejszej – kto ma władzę – także o liczbie opłacanych przez podatników biur poselskich. Biura są tak naprawdę podstawową jednostką partii w terenie: to tam na koszt budżetu zatrudniany jest partyjny aparat, tam toczy się partyjne życie, odbywają spotkania i narady. Idealnie byłoby oczywiście, gdyby biura poselskie zajmowały się tylko obsługą posłów i organizowaniem ich kontaktu z wyborcami, ale nie bądźmy naiwni.

Z drugiej strony wszakże

nie ma żadnego powodu, by największe partie dostawały z budżetu po kilkadziesiąt milionów, które wydają potem na kampanię wyborczą, obwieszając Polskę billboardami.

W nowej kadencji dzięki niezwykle wysokiej frekwencji będą to kwoty rekordowe: PiS dostanie 26 baniek, KO – 25, Trzecia Droga – 15, Lewica – 10, Konfederacja – 8,5. To już w sam system wpisuje nierówność, która jest dodatkowo umacniana zacieraniem linii między państwem a partią rządzącą i używaniem funduszy państwowych do promocji partyjnej. Żeby zaradzić tej drugiej pladze, konieczna byłaby jakaś przyzwoitość wśród klasy politycznej – znów: nie bądźmy naiwni. Tę pierwszą można rozwiązać systemowo, wyrównując subwencje dla wszystkich sił parlamentarnych. Przy okazji można by też – wzorem francuskim – ustandaryzować rozmiary plakatów wyborczych i zakazać reklamowania się na billboardach. Kandydat na posła to nie jest proszek do prania i utrwalanie wizerunku marki nie powinno być drogą do mandatu.

Te wszystkie zmiany były dotychczas niemożliwe do przeprowadzenia, albowiem rządziły, mniej lub bardziej niepodzielnie, największe partie, które nie miały żadnego interesu w osłabianiu swojej przewagi. Teraz, przy rządzie koalicyjnym, stworzonym wbrew zwycięzcy wyborów, sejmowa większość może dojść do wniosku, że utrwalanie nierówności – a zatem wzmacnianie PiS – nie jest w jej interesie. Z korzyścią dla interesu demokracji.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ W Warszawie na Bielanach oraz na Woli samotny kolarz zaczepiał przechodniów maczetą. Niegroźnie ranił trzech. Wolska policja, która ujęła 37-letniego rowerzystę, przypomina, że ćwiartowanie ludzi maczetami w Warszawie jest nadal nielegalne. Informacja ta ważna jest zwłaszcza dla przybyszów z Krakowa, gdzie zwyczaj ten się upowszechnił i traktowany jest bardziej liberalnie.

▮ Ustalono przyczynę pożarów balotów słomy w gminie Smętowo Graniczne w woj. zachodniopomorskim, których częstotliwość występowania w ostatnich miesiącach odbiegała znacznie od standardowych zmiennych losowych występujących w sąsiadujących gminach. Okazało się, że nie były to samozapłony. Podpalaczem okazał się 16-latek, który utrzymywał, że nie lubi matematyki, a zwłaszcza rachunku prawdopodobieństwa. W szczególności tyranii rachunku statystycznego wielkich liczb, przeciw któremu wystąpił, wzniecając 18 niestatystycznych pożarów. Podpalacz utrzymuje również, że od maleńkości nadzwyczajnie podobał mu się ogień.

▮ Straż Ochrony Kolei, tzw. SOK, zakupiła trzy land rovery defender II za milion złotych. Za tę kwotę mogłaby kupić dziesięć dacii o podobnych parametrach i z tańszym serwisem. W państwie, gdzie służby policyjne i quasi-policyjne jeżdżą droższymi samochodami niż przestępcy, ryzykujemy, iż siły zła i dobra zamienią się miejscami.

▮ W związku z uznaniem przez uczonych z sejmu marihuany za środek leczniczy i dopuszczeniem jej do aptecznego obrotu pojawił się problem. Otóż nie do końca wiadomo, jak w naszym kraju o tak ogromnych tradycjach w plantacji zioła można by legalnie je hodować. Polska nie posiada własnych licencjonowanych upraw surowca. Zatem 1589 kg patentowanej marychy importujemy rocznie z Portugalii. Sprzedawana jest w aptekach po 70 zł za gram. Słyszałem, że w obiegu pozaaptecznym można ją kupić za połowę tej kwoty, tylko nie pamiętam, kto mi to powiedział.

▮ Radni Warszawy od dłuższego czasu udowadniają, że nie chcą w mieście biedy. Na różne sposoby starają się jej pozbyć. Ostatni ich pomysł był taki, aby zakazać palenia węglem. Zakaz stał się prawem od pierwszego października. Szacuje się, że dzięki tym restrykcjom opuści stolicę ok. 6 tys. rodzin, których na inny rodzaj paliwa oraz piece niewęglowe po prostu nie stać. Straż miejska motywuje do wyprowadzki, smagając biedaków mandatami. W minionym miesiącu było tych incydentów 30.

▮ Gdański chirurg onkolog Marek Ł. skazany jest przez miejscowy sąd na 10 lat bezwzględnego pierdla i 1,85 mln zł różnych kosztów. Jak ustalono, jego metodologia badania zgłaszających się po poradę kobiet odbiegała od ogólnie przyjętych standardów medycznych. Prokurator uważał, a sąd się z nim zgodził, że przez 11 lat Marek Ł. zmusił do innych czynności seksualnych 88 kobiet, które to czynności nie miały żadnego uzasadnienia terapeutycznego. Lekarz twierdzi, że to nieprawda. Zapowiedział apelację.

▮ Na stołecznym placu Trzech Krzyży w sercu Warszawy, tak dotkliwie doświadczonej przez Niemców, Stołeczny Zarząd Dróg Miejskich posadził „wyjątkowo duże i dorodne" lipy i głogi importowane z Niemiec. Za każde drzewo zapłacono Niemcom 11,5 tys. zł. Firmie sadzącej dodano jeszcze po 2,5 tys. od roślinki za jej podlewanie przez najbliższe trzy lata. Jeżeli zaatakują was w Warszawie motyle nocne ze swastykami na skrzydełkach, to nie powinniście się dziwić.

▮ Prof. Alojzy Nowak, rektor Uniwersytetu Warszawskiego, poinformował, że z Biblioteki Uniwersyteckiej (tak zwanego BUW-u) skradziono 80 woluminów rosyjskich o wartości 300 tys. dolarów amerykańskich. O kradzież podejrzewane są wraże siły FSB. Na razie tylko zwolniono z pracy dyrektorkę biblioteki Annę Wołodko, której mimo 31-letniego doświadczenia w bibliotekoznawstwie nie udało się zapobiec kradzieży.

▮ Strażnicy miejscy w Olsztynie zostali wezwani do „dziwnego zwierza", który wylegiwał się na klatce schodowej kamienicy przy ul. Grunwaldzkiej. Donosiciel utrzymywał, że jest to tchórz, włochaty waran lub kangur rudowłosy. Rzeczywistość, jak to zwykle w Olsztynie, okazała się bardziej prozaiczna. Na ostatnim piętrze spał sobie smacznie lis. Uznano, że lis nie jest zwierzęciem domowym, i na koszt podatników strażnicy odstawili go do lasu.

eprasa.pl 177f73f476

Biejat jeńców nie bierze

Co myśli kawiorowa lewica o ludu roboczym.

Historia zna przypadki, kiedy w różnych epokach – lecz w podobnej formie – pojawiał się cytat będący symbolem kompletnego odklejenia władcy od realiów, w których przyszło żyć jego poddanym. I tak na przełomie III i IV w. chiński cesarz Hui na wieść o głodzie w kraju miał rzec, by głodujący, którzy nie mają zboża, jedli mięso; kilka wieków później analogiczną „ciastkową" wersję powiedzenia przypisano królowej Francji Marii Antoninie.

Senator Magdalena Biejat, współprzewodnicząca partii Razem, niezrażona powidokiem ukamieniowania, poluzowała powyborczą gumę w gaciach i z brawurą wpisała się w ten trend.

Język lata jak łopata

Zawsze mam ubaw, kiedy słucham przedstawicieli rządu bajdurzących, jak bardzo chcą ulżyć obywatelom. Polityków cechuje imprinting właściwy wyższym kręgowcom – tj. specjalny typ nabywania trwałych reakcji we wczesnym, bardzo krótkim okresie życia, dlatego często i chętnie opowiadają pierdoły, bo kto najpiękniej opowiada, ten ma władzę.

W minionym tygodniu gościem red. Michała Wróblewskiego w programie „Tłit" Wirtualnej Polski była senatorka Lewicy Magdalena Biejat, która – zgodnie z regułami gry – snuła swoją lewicową opowieść. Biejat paralelnie z linią partii i w kontrze do większego koalicjanta (KO) z niezłomnością Syzyfa plotła androny o zabieraniu bogatym i robieniu finansowego fellatio przy pomocy wszelakich ulg biednym. I kiedy nad krainą „razemkowego robinhoodyzmu" do szczęścia brakowało tylko tęczy, kiedy już prawie opierdoliła towar frajerom, to z dobrym przebiciem zaplątała się pani senator w swej zapiekłości walki z zamożnymi i wyłożyła z hukiem.

Wymieniana wśród kandydatek na marszałkinię senatu senatorka przy pytaniu o zryczałtowaną składkę zdrowotną, którą proponuje Koalicja Obywatelska, stwierdziła, że jest przeciwko takiemu rozwiązaniu. Zauważyła (słusznie), że zryczałtowana składka zdrowotna z założenia zrównuje wszystkich przedsiębiorców, a przecież dla osób prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą tak wysoki podatek mógłby być solidnym obciążeniem. Dodała ponadto, że są osoby na B2B (rodzaj umowy między przedsiębiorstwami), które uciekają od podatków, a są prezesami lub na stanowiskach kierowniczych i stać je na to, by płacić proporcjonalną stawkę na ubezpieczenie zdrowotne. I gdyby w tym momencie w studiu pojawił się motyl albo chociaż oberwał się strop, nie pisałabym tego artykułu. Ale niestety.

– Jeżeli ktoś chodzi do pracy, spełnia zasady etatu, a jednocześnie udaje, że jest jednoosobową działalnością gospodarczą, by unikać podatku, to jest to oszustwo – skonkludowała i mogłabym przysiąc, że od jobów i faków obywateli, które poleciały w tym momencie w powietrze, zerwało się ptactwo jak Polska długa i szeroka.

To jak rzucić coś w stylu „wiem dużo o pracy, bo mam okna z widokiem na budowę". Kurwa.

Do pracy rodacy!

B2B (ang. business to business) to model biznesowy, który zakłada, że do transakcji dochodzi między przedsiębiorstwami. Oznacza to, że wszelkiego rodzaju relacje biznesowe są zawierane w obrębie firm i nie dotyczą klientów indywidualnych. Krótko mówiąc, w umowie B2B jedna strona zobowiązuje się świadczyć określone usługi na rzecz drugiej, a druga wypłacić pierwszej stosowne wynagrodzenie. Aby móc zawierać kontrakty B2B, należy mieć (lub założyć) działalność gospodarczą. Przy współpracy B2B w ramach takiej jednoosobowej działalności gospodarczej (tzw. samozatrudnienie) strona wypłacająca wynagrodzenie nie musi płacić składek do ZUS-u ani ubezpieczenia chorobowego, odpadają wszystkie koszty pracownicze, a te – jak wiadomo – do najniższych nie należą. Ten obowiązek spoczywa na samozatrudnionym. Wszystko pięknie, ładnie, ale jest kilka haków.

Samozatrudnionego nie chroni kodeks pracy, nie ma prawa do płatnego urlopu wypoczynkowego, czas współpracy nie nalicza się do stażu pracy i, naturalnie, nie ma poduszki bezpieczeństwa pod postacią trzymiesięcznego okresu wypowiedzenia czy L4 – tak jak w przypadku umowy o pracę.

Z grubsza rzecz ujmując, tego typu akrobacje opłacają się tym, którzy zarabiają powyżej 10 tys. zł. I jest to dolny pułap opłacalności tego modelu.

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Mimo to wiele osób chwali sobie B2B, bo nawet po opłaceniu ZUS-owskiej daniny i podatków zwyczajnie zostaje im więcej pieniędzy na rękę, a te mogą zainwestować według własnego widzimisię, a nie w pompowanie gnijącego systemu emerytalnego.

B2B od umowy o pracę odróżnia jeszcze jedno: nie wykonuje się obowiązków pracowniczych w miejscu i czasie wyznaczonym przez pracodawcę. W teorii, czyli według przepisów, bo te sobie, a życie sobie. I owszem, zdarza się, jak na biznes przystało, przeciąganie struny na finansową korzyść przez samozatrudnionych, jak wspomniała Biejat, tak jak zdarza się, że ktoś nie umyje rąk po skorzystaniu z kibla. Czy zatem należy wszystkich nazwać brudasami?

Problem w tym, że w ostatnich latach cwaniactwo stało się domeną głównie zatrudniających i

na B2B zapierdalają sprzątaczki, magazynierzy, kierowcy, pracownicy call center, stacji benzynowych i długo by wymieniać rzeszę ludzi, którzy wspomnianych 10 tys. miesięcznie w życiu na oczy nie widzieli i na pewno nie zobaczą. Dlaczego więc decydują się na taki niekorzystny układ? Bo nie mają wyjścia.

Nadmienię jeszcze, że jeśli pracodawca na siłę wypycha pracownika z etatu na B2B, ten nie może liczyć na mały ZUS ani na ulgowe rozliczenie podatkowe. Przy gównianej podstawie finansowej to naprawdę robi sporą różnicę.

W systemie B2B pracuje około 70 proc. personelu państwowej ochrony zdrowia: ratownicy medyczni, pielęgniarki, lekarze (część z własnej woli, a część wypchnięta przez szpitale z powodu braku norm czasu pracy). Zdarza się, że i salowe. Ergo, samo państwo czerpie korzyści tam, gdzie szuka problemu.

Tacy to oszuści pierdoleni.

Refleks, refleksja i refluks

Skłamałabym, pisząc, że senator Biejat nie wyjęła głowy z dupy, ale tylko na chwilę i głównie po to, żeby znowu się skompromitować. Przez chwilę łaskawie pochyliła się nad dymanymi przez nieuczciwych pracodawców, perorując nad potrzebą zwiększenia kompetencji Państwowej Inspekcji Pracy, która przecież powinna tępić patologie tej maści, czym – przyznaję – serdecznie mnie rozbawiła. Nie ujmując PIP, wysokość nakładanych przez nią kar, czas trwania procedur i wreszcie kreatywność przedsiębiorców – wszystko do kupy wzięte zakrawa na kabaret. Na „cwaniactwo" samozatrudnionych też ma pani senator odpowiedź: powrót do pomysłu tzw. testu przedsiębiorcy, skompromitowanej idei i jednego z największych niewypałów gospodarczych ustępującego rządu Prawa i Sprawiedliwości. Brawo!

PiS chciał wprowadzić test przedsiębiorcy, by uniemożliwić korzystanie z podatku liniowego osobom, które współpracują tylko z jednym podmiotem. Jak argumentowało Ministerstwo Finansów, tacy przedsiębiorcy nie ponoszą ryzyka gospodarczego, mają bowiem zapewniony wpływ taki, jakby pracowali na etacie. Pomysł storpedowała m.in. Konfederacja Lewiatan, której przedstawiciele stwierdzili, że oddzielenie samozatrudnionych od „zwykłych" przedsiębiorców jest niezwykle trudne. To zaś tworzy ryzyko nadużyć po stronie urzędników taki test przeprowadzających. Idąc dalej, wykazano, że na tle interpretowania przepisów na pewno powstałyby spory na linii przedsiębiorcy–fiskus. Wreszcie, jako że praktyka biznesowa zawsze wyprzedza ustawodawcę, umowy zawsze można skonstruować w taki sposób, żeby faktur było więcej.

W efekcie nawet ten mało rozsądny rząd PiS wycofał się z tego idiotycznego przedsięwzięcia, żeby nie wkurwić i tak wkurwionych przedsiębiorców.

Lewica lewicy lewicą

Niewątpliwie problem haniebnych praktyk siłowego wypychania pracowników na umowy B2B należy jak najszybciej rozwikłać. Do tego jednak trzeba rozwiązań systemowych, a nie bezrefleksyjnego powielania pisowskich bubli, a już na pewno nie atakowania pracowników, którym ten system przynosi wypracowane i zasłużone benefity. Z przedstawicielami lewej strony jest jednak ten problem, że niby słyszą, jak gdzieś dzwoni, ale zamiast solidnie sprawdzić temat, za przeproszeniem, jak to gówno, które przykleiło się do auta, z miejsca krzyczą: jedziemy!!! Nie tak to działa.

Jeśli poturbowana w wyborach Lewica będzie się bawiła w populistyczne hasełka walki z krzywdą najsłabszych, robiąc z nich przy okazji żywe tarcze, nie wróżę najlepiej jej i tak nadwątlonej w rządzie pozycji.

Pierwsza skucha zaliczona.

IDALIA DUBICKA

▮ Pokłosiem kontroli NIK-u w Poznaniu, z której wynika, że miasto zaniedbuje możliwości uzyskiwania dochodów z tytułu wywieszanych reklam, jest nowa uchwała krajobrazowa, która podwyższa kary za nielegalne banery według wskaźnika: opłata normalna razy 40. Skuteczność karania może być duża, ponieważ miasto kupiło samochód, który – wyposażony w osiem kamer na dachu – ma nieautoryzowane przez miasto reklamy ewidencjonować i taksować. Ze znalezieniem ich właścicieli raczej nie będzie problemów.

▮ W związku z licznymi telefonami do redakcji w sprawie pożaru należącego do rodziny Kraszewskich Domu Doktora w centrum Zakopanego, przy samych niemal Krupówkach, stanowczo stwierdzamy, że nie mamy z tym nic wspólnego. Budynek zbudowany był z desek liczących obecnie 140 lat, przesuszonych na wiór, o zerowej ognioodporności. Pachniał wewnątrz łatwopalnym naftalenem i w dodatku nie widzieliśmy tam ostatnio żadnej sprawnej gaśnicy. Nieszczęście było nieuniknione.

▮ Zawsze i wszędzie zdarzają się tacy społecznicy, którzy chcą wiedzieć, co mało kogo interesuje, jak na przykład pan Jarosław K. z Łodzi. Ów z uporem godnym lepszej sprawy indagował UM Łodzi w sprawie tego, ile wydano na uroczystości z okazji nadania 600-lecia praw miejskich. Ponieważ nie chciano Jarosławowi z Łodzi powiedzieć, zwrócił się do Regionalnej Izby Obrachunkowej, a ta zwróciła się do magistratu, skąd nadeszła odpowiedź: 6 mln i 78 tys. zł. Pan Jarosław zasadniczo przyjął tę informację ze zrozumieniem i satysfakcją, z wyjątkiem zastrzeżenia, że jego zdaniem skakanie przez ogniska, tańce, marsz z pochodniami, puszczanie wianków na wodzie oraz wyścigi w samych kąpielówkach w trakcie nocy świętojańskiej nie powinny kosztować 312 tys. zł. Z wątpliwością swą społecznik Jarosław poszedł do prokuratury.

▮ Do rozległego zawału u 73-letniego turysty wezwano śmigłowiec Lotniczego Pogotowia Ratunkowego z Sanoka. Nie pomogło. Emeryt zmarł, widząc Połoninę Wetlińską ozłoconą jesienią i oświetloną południowym słońcem. Lepiej nie mógł sobie tego zaplanować.

▮ Czech z Czech i Słowaczka ze Słowacji wypadli z balkonu znajdującego się na trzecim piętrze sanatorium Bałtyk w Kołobrzegu. Stan zdrowia Słowaczki pogorszył się do tego stopnia, że przebywa w szpitalu. U Czecha natomiast zupełnie ustąpił – znaczy nie żyje. Nie byli pijani i nie była to próba samobójcza – ustalono. Morskie powietrze przyprawić może widać organizmy nienawykłych do niego ludzi o szaleństwo i utratę równowagi, a lekarze przed tym nie przestrzegają. Pozostaje mieć nadzieję, że zajmująca się sprawą prokuratura postara się coś z tym zrobić.

R.J.

PS Informacje pochodzą z prasy prowincjonalnej, gdzie w zależności od prowincji inne jest wyobrażenie o prawdzie obiektywnej. Odżegnujemy się od skutków prawnych, jakie mogą faktycznie wywoływać.

eprasa.pl 177f73f476

Zadźgany ze starości

Według polskiej służby zdrowia przyczyną zgonu Polaków jest śmierć.

Rys. JANUARY

Córka postanowiła odwiedzić ojca. Mieszkał na osiedlu Skałka w Skarżysku-Kamiennej. Czas przeszły jest tu jak najbardziej na miejscu, bo gdy przyszła, 74-latek leżał w mieszkaniu przykryty kocem, nie dając oznak życia. Ściągnęła pogotowie. Lekarz stwierdził, że starszy pan był schorowany i zmarł z przyczyn naturalnych, a jego zgon to konsekwencja podeszłego wieku. Po ciało przyjechali wkrótce potem pracownicy zakładu pogrzebowego. Uchylili koc i zobaczyli nóż wbity w klatkę piersiową mężczyzny. Wezwano policję i prokuratora. Organa pomyszkowały po chałupie i orzekły coś równie inteligentnego jak lekarz. Wykluczono, by do śmierci mężczyzny przyczyniły się tzw. osoby trzecie. Najbardziej prawdopodobną hipotezą wydaje się samobójstwo. Samobójstwo polegające na tym, że leżąc, samemu wbija się nóż w swoją klatkę, a potem przykrywa się kocem?

Prokurator wziął na celownik medyka. Obowiązkiem lekarza stwierdzającego zgon było dokładne sprawdzenie, czy na ciele denata nie znajdowały się niepokojące ślady. Na przykład wbity nóż. Konował nie raczył nawet ruszyć koca. Dla niego było jasne, że jak widzi martwego staruszka, to ten nie żyje ze starości.

Rokowania nieboszczyka

Według medyków błędy lekarskie dzielą się na trzy kategorie. Błąd diagnostyczny/rozpoznania polega na mylnym stwierdzeniu nieistniejącej choroby lub też na nierozpoznaniu rzeczywistej choroby pacjenta. Błąd terapeutyczny to wybór niewłaściwej lub wadliwej metody leczenia, czyli również przepisanie niewłaściwego leku. Błąd rokowania zaś niesie ryzyko negatywnego wpływu na cały proces leczenia oraz może zdecydować o pogorszeniu stanu zdrowia pacjenta. Na przykład uznanie przez lekarza, że daną zmianę należy wyłącznie obserwować, gdy tymczasem należałoby ją wychlastać w cholerę.

Pan doktor ze Skarżyska mógłby zatem od biedy być ścignięty za błąd medyczny polegający na nierozpoznaniu choroby pacjenta. Tylko czy nieboszczyk to pacjent? A w dodatku nawet nie był chory, bo nie żył.

Prokurator ze Skarżyska zlecił oczywiście sekcję zwłok. Bo w większości przypadków sekcja dostarcza dowodów na wystąpienie błędu medycznego. Może więc ujawnić „niewłaściwe postępowanie chirurgiczne". Czyli choćby uszkodzenia narządów, niedokrwienie tkanek, obecność obcych przedmiotów w ciele pacjenta. Wtedy odpowiedzialność lekarza jest na talerzu. W Skarżysku obcym ciałem był nóż. Tyle że lekarz, poza przeoczeniem go, nie miał z nożem nic wspólnego.

Sekcja może wykazać „niezdiagnozowane lub źle zdiagnozowane schorzenia". Znaczy choroby, które nie zostały wcześniej zdiagnozowane lub diagnoza była błędna. Na przykład niezauważony nowotwór. No i oczywiście źle zdiagnozowaną przyczynę śmierci nie ze starości, ale od noża – też może stwierdzić.

Sekcja zwłok może wykazać i „błędy w podawaniu leków". W tym przypadku na pewno nie wykaże. Tak samo jak „niedostatecznej opieki lub monitorowania chorego" czy „zaniedbania lub niedopełnienia obowiązków przez leczącego lekarza". Bo po prostu skarżyski lekarz nie miał kogo leczyć.

Pacjent z prosektorium

Rodzinie 74-latka przydałoby się, żeby nieboszczyk został uznany za pacjenta. Nieutuleni w żalu mogliby wtedy obetrzeć łzy odszkodowaniem i zadośćuczynieniem za naruszenie przez lekarza praw pacjenta. Te zaś należą do tzw. dóbr osobistych, a ich naruszenie nie zawsze wiąże się z powstaniem namacalnej szkody. Czyli dokładnie jak w przypadku pana ze Skarżyska. Naruszenie praw przez lekarza musi być zawinione, krzywda z tego wynikła nie musi jednak powodować jakichkolwiek materialnych następstw. Jednak w przeciwieństwie do pozostawienia ciała obcego w pacjencie, za które można dostać nawet 100 tys. zł, naruszenie praw pacjenta to wydatek dla pogotowia rzędu 5–20 tys. zł. Chyba że uda się dowieść, że błędna przyczyna śmierci to „diagnostyczny błąd medyczny", wtedy dla rodziny jest szansa na kolejne 50 tys. zł zadośćuczynienia.

Zakwalifikowanie nieboszczyka jako pacjenta, a przyczyny zgonu jako diagnozy byłoby przy okazji korzyścią nie tylko dla tysięcy rodzin, ale przede wszystkim dla wizerunku polskiej medycyny. Ten bowiem od lat budzi na świecie rozbawienie. A wszystko przez akty zgonu, które są tak samo trafione jak ten ze Skarżyska.

Światowa Organizacja Zdrowia już kilkukrotnie wykluczała Polskę z analiz porównawczych dotyczących umieralności według przyczyn. Powodem był ponad 25-procentowy udział zgonów o „niedokładnie określonych przyczynach".

W Polsce bowiem lekarze mają na nieboszczyków wyjebane. To stąd biorą się takie sytuacje jak w Skarżysku. Wyjątkowo często karty zgonów wypełniane są nieprawidłowo, to znaczy w sposób, który utrudnia tworzenie statystyk medycznych oraz możliwość oceny kondycji zdrowotnej społeczeństwa.

Zwłoki stare duchem

Zgodnie z zaleceniami WHO starość jako przyczyna śmierci powinna być wpisywana do aktu zgonu starszej osoby jedynie sporadycznie, gdy lekarzowi w żaden sposób nie udaje się ustalić powodu śmierci i osoba ta ma więcej niż 80 lat. Starszym ludziom siadają serce, nerki, wątroba, płuca czy mózg. Czasem kilka narządów naraz. Lista jest określona w Międzynarodowej Statystycznej Klasyfikacji Chorób i Problemów Zdrowotnych ICD-10. Na świecie sobie z tym radzą, u nas. zamiast myśleć, wpisuje się zgon ze starości.

Problem nieprecyzyjnych określeń przyczyn zgonów znany jest w Polsce od bardzo dawna. Wynika z nadmiernego stosowania bezużytecznych opisów i określeń dotyczących chorób układu krążenia, a także zgonów ze starości, których kod R54 jest wpisywany w kartach zgonów osobom już w wieku niespełna 70 lat.

Zgodnie z zaleceniami WHO nie można stosować kodów odpowiadających niedokładnym i nieścisłym opisom stanów i chorób, które uniemożliwiają precyzyjne określenie wyjściowej przyczyny zgonu. Czyli tzw. kodów śmieciowych (*garbage codes*). Są to źle zdefiniowane symbole, które nie niosą istotnych informacji o chorobie lub obrażeniu powodujących śmierć.

WHO opublikowało dwie listy takich kodów: podstawową i dodatkową. To na nich znajduje się „starość" (R54) czy „nagła śmierć, przyczyna nieznana" (R96).

Systemy zdrowia w innych krajach przejęły się tym zaleceniem. Polska służba zdrowia w tym czasie handlowała respiratorami i wprowadzała to, co wynikało z aborcyjnego orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego.

A z powodu niedokładnej identyfikacji przyczyn zgonów Polaków trudno nawet zaplanować skuteczną politykę zdrowotną. Ale to ma się zmienić. Od 2024 r. wchodzi elektroniczna karta zgonu. Na niej zaś przygotowywane przez GUS zautomatyzowane kodowanie przyczyn śmierci. Z tego, co nam doniesiono, pozycje takie jak „starość" i „nagła śmierć, przyczyna nieznana" zostają. Od 1 stycznia na karcie zgonu mają pojawić się informacje o miejscu zgonu, jego przyczynach, osobie stwierdzającej przyczyny śmierci i sposobie ich ustalenia. Nieutuleni w żalu będą przynajmniej wiedzieć, kogo ścigać za dziadka zmarłego naturalnie z powodu zadźgania.

TADEUSZ JASIŃSKI

ETYKA BEZBOŻNA

Gdy mężczyzna molestuje kobietę...

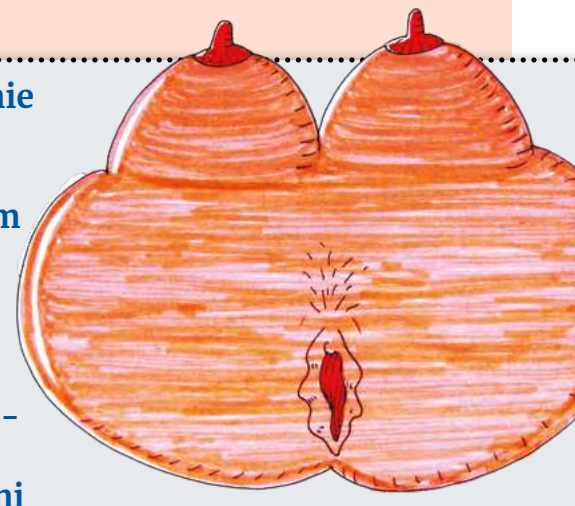

paradoksalnie wyzwolenie kobiet stało się impulsem wyzwalającym plagę molestowania. Swobodnie poruszająca się w przestrzeni publicznej i pracująca w otoczeniu mężczyzn kobieta to dla wielu pobudzonych i źle wychowanych mężczyzn coś w rodzaju nieustającej prowokującej pokusy.

Rysunki MARCIN CHUDZIK

Kobiety doświadczające molestowania na tle seksualnym nie są w Polsce bezbronne. Polskie Towarzystwo Prawa Antydyskryminacyjnego prowadzi dla nich infolinię, oferując pomoc prawną i wsparcie psychologiczne. Działacze mają ręce pełne roboty, bo niewłaściwe zachowania ze strony mężczyzn są u nas na porządku dziennym. Przy szerokim rozumieniu molestowania, obejmującym nie tylko dotykanie, lecz również natarczywe przyglądanie się i mające podtekst seksualny uwagi na temat wyglądu, okazuje się ono zjawiskiem wręcz powszechnym. Molestowania doświadczyło ok. 80 proc. Polek. To naprawdę dużo.

Niełatwo jest mężczyźnie postawić się w sytuacji molestowanej seksualnie kobiety. Jeśli jako faceci możemy sobie wyobrazić, co czuje w takiej sytuacji kobieta, to chyba tylko wówczas, gdy doznawaliśmy czegoś podobnego w dzieciństwie. Ja akurat miałem takie doświadczenia. Byłem ładnym dzieckiem i często mi się zdarzało być przytulanym, tarmoszonym i całowanym przez dorosłe kobiety. Do dziś potrafię przywołać w sobie dalekie echo dziwnego odczucia ambiwalencji – ich zachowanie mnie porażało i sprawiało nieokreślony dziwny ból, a jednocześnie ekscytowało, jak gdyby zapowiadając jakąś nieznaną przyjemność. Nie wiem, czy to dobry punkt wyjścia do próby empatyzowania z molestowaną kobietą, ale zawsze to lepsze niż nic.

Trudność, jaką my, mężczyźni, mamy ze zrozumieniem, jak okropnie czuje się kobieta otrzymująca niechciane sygnały seksualne, wiąże się z odmiennością naszych wykształconych w toku ewolucji funkcji w tym zakresie oraz z brakiem własnych doświadczeń, do których moglibyśmy się odnieść. Co gorsza, większość mężczyzn w roli adresatów jakichś nieprzystojnych molestujących słów czy gestów ze strony kobiety (zdarza się to rzadziej niż w drugą stronę, jakkolwiek zdarza się nie tak znowu rzadko) nie odczuwa silnego dyskomfortu, a nawet może się poczuć z tym dobrze. Jest to bowiem dla mężczyzny sygnał, że może się podobać, a to znaczy, że wciąż jeszcze ma szanse na zdobycie kolejnej kobiety. A takie jest właśnie instynktowne atawistyczne dążenie mężczyzny. W dodatku niechciane zaloty ze strony kobiety nie wywołują w mężczyźnie lęku przed tym, że mógłby zostać fizycznie zaatakowany i zgwałcony, podczas gdy w analogicznej sytuacji myśli kobiety w naturalny sposób wędrują w stronę najgorszych scenariuszy.

Z pewnością jako mężczyźni cieszymy się prawie zupełnym bezpieczeństwem seksualnym i nie jest to bynajmniej jedyna korzyść społeczna decydująca o uprzywilejowanej pozycji mężczyzn w stosunku do kobiet. Oczywiście patriarchat nie wygląda dziś tak samo jak nawet pół wieku temu, lecz

Oczywiście przemocy seksualnej, w tym regularnych gwałtów, jest dziś nieporównanie mniej niż w przemocowym i udręczonym przez nędzę i ciemnotę społeczeństwie postfeudalnym, lecz jeśli chodzi o sfery, powiedzmy sobie, mieszczańskie czy też klasę średnią, mężczyźni pozwalają sobie na więcej niż kiedykolwiek. Mają bowiem poczucie, że wyzwolona kobieta sama stanowi o sobie, a przeto nie godzi się na to, by stał za nią męski obrońca. A skoro wygląda na zdaną na samą siebie, to cóż mogłoby powstrzymać mężczyznę? I faktycznie, najczęściej taki mężczyzna nie myli się w swych rachubach.

Jednakże jest coś jeszcze, co sprawia, że tak trudno wyplenić paskudne męskie narowy. Otóż wypowiadając obleśne uwagi czy robiąc takież miny i gesty, mężczyzna doznaje autoerotycznego pobudzenia, gdyż jego mózg odczytuje te zachowania jako inicjację czynności seksualnych. Molestowanie jest więc dla molestującego przyjemne. A gdy odczuwamy przyjemność w relacji z drugą osobą, to ten sam gadzi mózg podpowiada nam, że jest to wzajemne. Tak bywa bowiem najczęściej, że pozytywna relacja z drugą osobą jest symetryczna. I dlatego molestujący mężczyzna nie tylko odczuwa przyjemność (a nawet ma wzwód z tego powodu), lecz ulega natych-

eprasa.pl 177f73f476

W wariatkowie

Szpital inny niż wszystkie.

Rys. JANUARY

Stan zdrowia psychicznego polskiego społeczeństwa oscyluje między złym a fatalnym. I wciąż się pogarsza w zastraszającym tempie. System publicznej opieki psychologicznej jest niedofinansowany i przeciążony, a prywatne gabinety – mimo cen rzędu 200 lub więcej złotych za godzinną terapię – pękają w szwach.

Warszawskie Centrum Terapii Dialog pod koniec września br. przeprowadziło sondaż wśród lekarzy rodzinnych. Okazało się, że nawet co dziesiąta osoba przychodząca do nich wymaga pomocy psychiatry. Szokujące i nieomal niezauważone medialnie były rezultaty – ponad 94 proc. lekarzy stwierdziło, że w ostatnich kilku latach obserwuje spory wzrost liczby pacjentów, którzy zgłaszają problemy psychiczne. Pewna część z nich trafi koniec końców na oddziały szpitale, otwarte lub zamknięte.

Rodzi się pytanie, co ich może tam czekać. Odpowiedź na to przynosi poniższa historia kogoś, kto miał bezpośredni kontakt z polskimi psychiatrykami (zmieniono imię głównego bohatera i szczegóły, które mogłyby go zidentyfikować).

Kobiety i przemoc

Sebastian przed ponad 10 laty ucieszył się, że dostał się na terapię na oddziale dziennym w sesji letniej, już po zakończeniu roku akademickiego. Na kilkanaście osób, które w niej uczestniczyły, było tylko czterech mężczyzn.

Terapię prowadziły dwie młode psycholożki. Jedna, która zachowaniem i wyglądem przypominała grzeczną pensjonariuszkę z XIX-wiecznych powieści dla grzecznych panien, i druga, dorodna ślicznotka o obfitym biuście. Wszyscy faceci starali się wywrzeć na tej drugiej wrażenie, oczarować ją, zainteresować sobą. W powietrzu było czuć napięcie seksualne, wzmacniane przez nienawistne zachowania pacjentek, zazdrosnych o uwagę płci przeciwnej.

Pacjenci od poniedziałku do piątku zbierali się w sali z lustrem weneckim. Codziennie odbywały się dwie półtoragodzinne sesje terapeutyczne. W przerwie było śniadanie. Lipiec. Bardzo gorąco. Psycholożki otwierały wielkie okno, aby nie było duszno. Sebastian siedział naprzeciwko niego. Nieraz zastanawiał się, jak by to było, gdyby wyskoczył z niego z czwartego piętra na ziemię. Zastanawiał się, czy inni wpatrujący się uporczywie w okno mają podobne myśli.

Mężczyzna bardzo szybko się otworzył. Opowiadał o tym, jak dorastał w cieniu domowego terrorysty i sam wyżywał się na młodszym rodzeństwie. Pacjentki, spośród których wiele też doświadczyło w dzieciństwie i w związkach przemocy, zareagowały bezwzględnie. Dawały mu odczuć, że jest nieakceptowany, słaby, beznadziejny. Miały możliwość odpłacenia komuś za własne krzywdy. I czerpały radość z faktu, że nikt im nie odda, że są bezpieczne, bo w szpitalu.

Sebastian zwykle siedział obok zawzięcie cichej i ponurej kobiety około czterdziestki. Biła od niej zła energia. Czuł ją wręcz fizycznie, wydzierała się z niej każdym porem skóry. Kobieta opowiadała o ojcu alkoholiku, ale było dość jasne, że jej opowieść jest niepełna. Po latach zrozumiał, że kobieta zapewne była po wielokroć gwałcona w dzieciństwie przez swojego ojca.

Pewien 20-latek wzbudzał agresję Sebastiana. Pewnego dnia pochylił się on nad przemądrzałym gówniarzem i powiedział mu, aby spierdalał, bo jak mu jebnie, to mu ściana odda. Chłopak był przerażony. Sebastian, nie zdając sobie sprawy, że ma już psychozę, z dumą opowiedział na głos, co chciał zrobić. Chciał zaimponować seksownej terapeutce i pokazać pacjentkom, że twardy z niego gość.

Kilka dni później trafił już do innego szpitala psychiatrycznego – tym razem na oddział zamknięty.

Pierwsza psychoza

Pewnego lipcowego poranka 2010 r. Sebastianowi całkiem odbiło. Zaczął wydzwaniać do znajomych i mówić różne dziwne rzeczy. Kiedy poszedł bez butów do narzeczonej do pracy, pytając, gdzie jest ich córka, godzinę później w kaftanie bezpieczeństwa jechał karetką do psychiatryka położonego w uroczym zakątku na ścianie wschodniej. Warunki były trudne – w każdym z niezbyt dużych pokojów przebywało po sześć osób.

Zanim przeszła mu psychoza, zwyzywał personel szpitalny i kopnął w tyłek siostrę oddziałową. Jako pacjent agresywny został przywiązany za ręce i nogi do łóżka. Zrobiono mu zastrzyk na uspokojenie.

Sebastian szybko odnalazł się w specyficznym świecie szpitalnym. Poznawał ludzi. Był otwarty. Wpasował się w rytm dobowy placówki. Posiłki, wydawanie leków. Za pieniądze od rodziny kupował u oddziałowej ruskie fajki. Po 60 zł za sztangę 10 paczek. Oddziałowa przynosiła papierosy pacjentom, chowając je pod bluzką.

Centrum życia oddziału była palarnia. Kto nie był nałogowym palaczem, ten znajdował się na marginesie szpitalnego życia. Fajki najlepiej smakowały, gdy towarzyszyła im pita w ogromnych ilościach kawa – czarna jak szatan i gorąca jak piekło. Kiedy poczęstowało się kogoś fajką lub kawą, można było usłyszeć choćby porady, jak świrować, aby dostać się na rentę. Nieznani ludzie opowiadali swoje życiowe historie.

Sebastianowi wydawało się, że jest całkiem zdrowy, nalegał na wypisanie ze szpitala. Ordynatorka uczyniła to, acz bez większego przekonania. Po hospitalizacji mężczyzna wyprowadził się od narzeczonej i ich wspólnego dziecka. I przez lata zmagał się z potężną depresją, która jednak nie przekształciła się w psychozę.

Do szpitala w kajdankach

13 marca 2019 r. Sebastiana potrącił samochód. Miał szczęście: nic poważnego mu się nie stało. Odczuwał jednak uporczywy ból kręgosłupa. Brał cztery tabletki opioidów dziennie, po których czuł się, jakby ktoś mu dał obuchem siekiery przez łeb. Ale przynajmniej go nie bolało.

Jego ówczesna partnerka Ola zasugerowała mu, że wymyśla ból, aby brać leki. Postanowił dowieść jej, że to nieprawda, tym bardziej że od dłuższego czasu w ich związku źle się działo. Ola była dla niego zimna wtedy, gdy najbardziej oczekiwał jej wsparcia. Z dnia na dzień rzucił lek przeciwbólowy. Miał stany lękowe, czuł się podle.

Miesiąc po wypadku Ola go rzuciła. Pojechał do matki. Jak sam to określa, zaczął się odklejać od rzeczywistości. Prawie nie było z nim kontaktu. Bez widocznego powodu śmiał się, płakał, całymi dniami oglądał bajkę „Masza i Niedźwiedź". Żył we własnym świecie.

Matka i siostra, martwiąc się o Sebastiana, wezwały karetkę. Nie chciał jechać. Ratownicy wezwali policję. Z opowieści siostry wie, że spytał funkcjonariusza, kim jest. Umundurowany policjant spytał, na kogo wygląda. Chory powiedział, że wygląda na pajaca, i nagle wstał z łóżka. Chwilę później skuty kajdankami jechał policyjną suką do psychiatryka. Na izbie przyjęć nie zgodził się na dobrowolną hospitalizację. Odprowadzający go na oddział policjanci, wkurzeni, że muszą zajmować się wariatem, dla zabawy zmusili go do biegu na trzecie piętro, na wpół wlokąc. Był wtedy trzymany chwytem policyjnym.

Fajki, kawka i trawka

Sebastian na oddziale szpitala w mieście wojewódzkim w południowo-zachodniej Polsce czuł się świetnie. Miał wielkie wsparcie w rodzinie i znajomych. Pobił chyba rekord liczby odwiedzających pacjenta w historii szpitala. W ciągu 35 dni odwiedziło go 11 osób, przy czym niektóre – jak jego siostra – czyniły to kilka razy w tygodniu.

Mężczyzna był ceniony i lubiany przez innych pacjentów. Miał smartfona z dostępem do internetu – rzadkość na oddziale, gdyż większość pacjentów była bardzo biedna, a kiedy już miała nowoczesny telefon, nie chciała go nikomu dawać – chłopaki pożyczały go, aby robić sobie dobrze w toalecie przy oglądaniu pornoli. Palił jak smok – doszedł do trzech paczek papierosów dziennie. To go rozluźniało. Miał żółte palce od tytoniu.

Chętnie dzielił się fajkami, kawą i słodyczami. Pacjenci odwdzięczali się, jak mogli – jeden z nich pozwolił mu sztachnąć się marihuaną. Innym razem jeden z gości kolegi poczęstował go przywiezionym prosto z Amsterdamu skrętem z trawką. Nic dziwnego, psychiatryk to nie więzienie. Nie ma kontroli osobistej dla odwiedzających. Trzeba tylko uważać z alkoholem – jeden pacjent przegiął, zbadano go alkotestem i miał przejebane.

Sebastian tylko dwa razy wkurwił się w trakcie hospitalizacji.

Pierwszy raz, kiedy sędzia, która miała orzec, czy trzymać go w szpitalu wbrew jego woli, nawet nie zaprosiła go na odbywającą się na terenie szpitala rozprawę. Co było wbrew prawu i elementarnej przyzwoitości. Gdyby go spytała, zgodziłby się na hospitalizację. Od tego czasu miał wyjebane na to, co PiS robi z sędziami.

Drugi raz, kiedy potwornie bolał go kręgosłup i zwijał się z bólu, najpierw grzecznie prosząc, potem wręcz błagając na kolanach o środek przeciwbólowy. Kiedy w nocy wył z bólu i walił pięścią w ścianę dyżurki, pielęgniarka, wściekła, że przeszkadza jej we śnie, kazała mu się zamknąć, bo inaczej skończy w pasach. Tej nieprzespanej nocy coś w nim umarło.

Kiedy nasz bohater wyszedł ze szpitala, nie wiedział, że za pół roku trafi znowu na ten sam oddział.

Wariaci i wiertarki

Pewnego październikowego popołudnia w 2019 r. spełniły się koszmary Sebastiana. Dostał psychozy w trakcie zajęć ze studentami. Ale, w odróżnieniu od ponurych wizji wykładowcy, żaden ze studentów nie nagrał jego zachowania i nie wrzucił go dla beki do sieci. Sebastian na co dzień zachowuje się ekscentrycznie i nikt nie zauważył popadnięcia w obłęd. Zwolnił się z zajęć, udał do matki i sam poprosił, aby wezwała pogotowie. Tym razem obyło się bez policji i kajdanek.

Hospitalizacja trwała tylko osiem dni. Ale była najgorsza ze wszystkich.

W czasie pobytu mężczyzny w szpitalu w starym poniemieckim gmaszysku odbywał się remont. Sebastian z przerażeniem obserwował walające się po korytarzu oddziału młotki i podłączone do prądu wiertarki. I bezradnych budowlańców – w tym słabo mówiących po polsku Ukraińców – którzy musieli użerać się z ciekawskimi pacjentami. Oczami wyobraźni widział wariatów, którzy przewiercają głowę jemu lub odwiedzającej go matce czy siostrze. Na szczęście nic nikomu się nie stało.

Co gorsza, lekarką prowadzącą była młoda kobieta, która ignorancję i brak doświadczenia pokrywała fałszywym poczuciem pewności i ciągłym pouczaniem pacjentów. Kiedy wyguglał ją i zobaczył, że specjalizuje się w chorobach wewnętrznych, po czym powiedział jej, że powinna zachować trochę pokory w relacjach z pacjentami, kobieta znienawidziła go i podjudzała, by złożył skargę do ordynatora.

Ordynator, stary wyga, nie miał chyba najlepszego zdania o podległej mu lekarce. Czując w powietrzu kłopoty i narastający konflikt, zgodził się wypisać Sebastiana z placówki.

Szpitalna tragifarsa

Rzecz jasna, każdy przypadek psychiatrycznej hospitalizacji jest inny. Ale powtarzanie, że to szpital jak każdy inny, jest bzdurą. Nasz bohater przekonał się o tym, gdy okazało się, że żadne z jego dwóch ubezpieczeń w pracy nie obejmuje rekompensaty za pobyt w psychiatryku. Widocznie ubezpieczyciele dochodzą do wniosku, że pobyt w takiej placówce jest czymś diametralnie różnym od hospitalizacji z powodu innych chorób. Może sądzą, że to jakiś luksusowy kurort?

W każdym społeczeństwie jest odsetek ludzi, którzy z takich czy innych względów mogą potrzebować na pewnym etapie swojego życia pobytu w szpitalu psychiatrycznym. Polska pokazuje środkowy palec znajdującym się na oddziałach zamkniętych.

W wielu miejscach warunki socjalne i poziom profesjonalizmu personelu medycznego przypominają nie kraj Unii Europejskiej, ale Trzeci Świat.

Szkoda, że los ludzi dotkniętych różnego rodzaju przypadłościami psychicznymi – częściowo wynikającymi z działań polskich polityków, którzy są agresywni i podsycają lęki społeczne – nikogo z decydentów tak naprawdę nie obchodzi…

KATARZYNA KOENIG

miastowemu złudzeniu, że analogiczną przyjemność odczuwa zaatakowana przez niego kobieta. I jakby tego było mało, na koniec włącza się jeszcze jeden psychologiczny mechanizm sprzyjający kontynuacji złego zachowania. Otóż spontaniczne reakcje kobiety w tego rodzaju opresji, polegające na nerwowym uśmiechaniu się, wykonywaniu gestów zawstydzenia, a nawet zaczerwienieniu twarzy, mogą przypominać kokieterię i dodatkowo podniecać agresora.

Upiorne jest to seksualne qui pro quo. Czy można z tego jakość wyjść? Czy tylko surowe karanie molestujących mężczyzn może poprawić sytuację? Nie jestem za surowymi karami, bo sprawcy molestowania zwykle nie rozumieją, co takiego złego zrobili, w związku z czym karę odbierają jako rażącą niesprawiedliwość. A to może w nich wywołać aktywną i niebezpieczną mizoginię. Wydaje mi się, że lepszym sposobem jest edukacja i wychowywanie młodzieży w świadomości własnej seksualności i związanych z nią pułapek emocjonalnych. A także moralnych. Życie seksualne ma swoje głębokie podłoże biologiczne i emocjonalne, lecz również bardzo istotną treść etyczną. Molestowanie jest krzywdzące i to wystarczy, by uznać je za zło. Jednakże jest tu coś jeszcze. W napastowaniu kobiety przejawia się jakiś fundamentalny brak szacunku. Nie tylko do niej jako ofiary. Do samego siebie również.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 177f73f476

Za wszelką cenę

Do wielu sposobów skubania Polaków należy dodać metodę na serduszko.

Rys. JANUARY

Ostatnie dni to pasmo sukcesów zagranicznych biznesów medycznych.

Jedyną szansą na uratowanie siedmiomiesięcznej dziewczynki była operacja serduszka. Bo serduszko miało wiele niezwykle skomplikowanych wad. Krew z prawej komory nie miała jak przepłynąć do naczyń płucnych. Aortę z płucami łączyły maleńkie niedoskonałe naczynia, powstałe w życiu płodowym. Ciśnienie krwi było duże i nie docierała ona równomiernie do wszystkich naczyń, co powodowało niszczenie płuc.

A tu tymczasem kardiochirurdzy ze Stanfordu jako jedyni na świecie wykonują takie skomplikowane operacje i pomogli już wielu dzieciom. Byli chętni i mówili, że im szybciej zabieg się odbędzie, tym lepiej. To zaś znaczyłoby, że w Stanfordzie nie ma kolejki. A nie ma, bo zabieg wyceniono tam na 2,5 mln dolarów. A i to ponoć po wielkim rabacie. Nawet w USA jest niewiele ubezpieczalni, które w pakiecie dają ludziom operacje za taką kwotę.

Płaczą i dostają

NFZ od dawania szmalcu się odciął, Ministerstwo Zdrowia też. Ruszyła akcja w mediach. I się udało. Na biedne serduszko zebrano dla amerykańskich szpitalników 11,5 mln zł.

„Takich scen Podhale nie widziało od dawna" – pisały kilka dni temu media. Przed blokiem w Nowym Targu zgromadziło się około 500 osób, które świętowały zebranie 10 mln zł na zakup najdroższego leku świata – terapii genowej podawanej dzieciom cierpiącym na rdzeniowy zanik mięśni (SMA). Leku i nowatorskiej metody opracowanej w Stanach Zjednoczonych potrzebowała trzyletnia dziewczynka.

U innej dziewczynki, która 1 listopada obchodziła swoje drugie urodziny, tuż po porodzie zdiagnozowano problemy z przełykaniem i serduszkiem. Przeszła już pięć operacji, ale nie siada, nie raczkuje, o nauce chodzenia nie ma mowy. Gdyż dziewczynka urodziła się bez kości promieniowej w lewej rączce, co zatrzymało jej rozwój ruchowy. Oczywiście jedyni lekarze, którzy dali rodzicom nadzieję, orzekli, że operacja musi być przeprowadzona jak najszybciej. Ale tym razem specjaliści są z Polski, tyle że z prywatnej kliniki. Pierwszą operację wycenili na 375 tys. zł. Pierwszą, bo po niej przewidują jeszcze kilka. Zbiórka trwa.

Inna dziewczyna to już nastolatka. Jak piszą rodzice, „jest utalentowana muzycznie i lubi sport, ale nie może go uprawiać, bo nie ma sił na aktywność fizyczną". Z problemami z sercem i płucami zmaga się od urodzenia. Potrzebuje drugiej operacji, która uratuje jej życie. Drugiej, bo pierwszą operację w Stanfordzie przeszła 10 lat wcześniej. Wówczas amerykańscy specjaliści zrekonstruowali naczynia płucne, połączyli płuca z sercem oraz skorygowali wadę mięśnia sercowego. Za drobny milion baksów. Dziewczynka żyła jako tako, ale od kilku lat już nie bardzo. Zastawka serca, którą wtedy wszczepiono, zrobiła się zbyt mała. Poza tym uległa zwapnieniu i nie pełni swojej funkcji prawidłowo. Serce nastolatki jest obciążone i w bardzo złym stanie, prawa komora jest przerośnięta. Wystąpiła arytmia i niedomykalność trzech zastawek (czego następstwem jest mieszanie się krwi natlenionej z nienatlenioną). Koszt wymiany zastawki to 3 mln zł. Podziała prawidłowo też kilka lat. A potem następna. Tylko za co, skoro dziewczynka nie będzie już dziewczynką z chorym serduszkiem, ale kobietą?

Uporczywe cierpienie

Pewien znajomy wiekowy neonatolog opowiadał mi, że największe problemy miał z rodzicami dziękującymi mu za uratowanie półkilogramowych wcześniaków. Oni się cieszyli, a on się zastanawiał, czy nie powinien ich przeprosić. Większość tych maluchów nigdy bowiem nie tylko nie spełni minimalnych oczekiwań rodziców, ale z powodu wielu wad będzie cierpiała. A rodzice wraz nimi. Etyka lekarska kazała mu jednak ratować, bo to przecież życie. I nie mówić prawdy.

Specjaliści od innych maluchów, z którymi rozmawiałem, mówili coś podobnego. Mieli do czynienia ze schorzeniem, które co prawda można było fastrygować, ale tylko po to, żeby za chwilę robić to samo. I tak przez wiele lat, w czasie których dziecko niemal nie wychodziło ze szpitala. A szans na jaką taką samodzielną dorosłość nie miałoby nigdy. Najodważniejsi medycy mówili o tym matce czy ojcu wprost. Wtedy rodzice zabierali od nich dzieciaka i znajdowali lekarzy bądź szpital, którzy obiecywali cuda. Jako przykład podają dziewczynkę z reklamy jednej z fundacji mówiącą, że już od dziewięciu lat jest leczona pod opieką tej fundacji. I zdaniem lekarzy będzie tak do końca życia, bo nie ma najmniejszych szans na samodzielne funkcjonowanie.

Niemiec potrafi

Jest i inny aspekt zbierania na chorych. Jeszcze mniej etyczny. Buzia chorego dziecka, smutne oczy, sine usta, paluszki niemowlaka i imionka: Basia, Antoś, Lucek. Hasło, że są bardzo chore i trzeba ich serduszka operować za granicą. A jak nie będzie pieniędzy, to dziecko umrze.

Skąd to się bierze skoro wady serca u dzieci operujemy w Polsce na najwyższym europejskim poziomie, bo mamy świetnych specjalistów? Jak to się dzieje, że pod każdym artykułem, w którym podawane są dobre wyniki polskich kardiochirurgów dziecięcych, pojawia się wiele wpisów, które mówią o tym, jaka polska kardiochirurgia jest słaba i że tylko jeden specjalista jest najlepszy, i to właśnie do niego za granicę należy wysyłać dzieci? Tako przecież rzecze Facebook.

Kilka lat temu na ten temat wypowiedział się prof. Bohdan Maruszewski z Centrum Zdrowia Dziecka. Tłumaczył, że w Polsce nie operujemy jedynie bardzo rzadkich wad wrodzonych serca, które wykonują wyłącznie nieliczne ośrodki na świecie. Jako przykład podał niedorozwój tętnic płucnych, czemu mogą zaradzić operacyjnie jedynie prof. Adriano Carotti w szpitalu pediatrycznym na terenie Watykanu oraz prof. Frank L. Hanley z Lucile Packard Children's Hospital w Stanfordzie. Maruszewski tłumaczył wtedy, że niektórzy ginekolodzy wprowadzają w błąd rodziców dzieci, u których wykryto poważną wadę wrodzoną, że nie jest ona operowana w Polsce, tylko na przykład w Niemczech, co nie jest prawdą.

Po tych wypowiedziach prof. Maruszewski dostał totalny opieprz. Zarzucono mu, że łże, a poza tym nie on będzie decydował, gdzie rodzic ma leczyć dziecko.

Szpitale, które lata temu przywołał Maruszewski, to te same, które dziś robią te operacje co wtedy, tylko za jeszcze większą kasę.

Zdaniem lekarzy nie wiadomo dlaczego. A właściwie wiadomo. Chodzi o profity z utrzymania monopolu. To zaś jest zgodne z założeniami biznesu,

---

Największy z Polaków był Ukraińcem?

Wania z Wadowic

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Po wybuchu wojny wszyscy byliśmy Ukraińcami (no, prawie wszyscy). Z biegiem czasu wojna spowszedniała, a i władze sąsiedniego kraju dawały coraz mniej pretekstów do sympatii. Nawet największy przyjaciel Wołodymyra Zełenskiego, prezydent wszystkich (głosujących na PiS) Polaków Andrzej Duda, przystopował z wazeliniarstwem i chłodno oświadczył, iż „Ukraina zachowuje się jak tonący, który chwyta się wszystkiego; my, pomagając jej, mamy prawo bronić się przed uczynieniem nam szkody". Chwycili się naprawdę ostrej brzytwy. Dostają broń, pomoc humanitarną i dyplomatyczną, przyjmujemy ich pod swój dach. Ale teraz to przesadzili. Chcą nam zabrać Jana Pawła II!

• • •

Na stronie ukraińskiej Cerkwi greckokatolickiej pojawił się tekst pod tytułem „Czy święty papież Jan Paweł II miał ukraińskie korzenie?". Prawo nagłówków Betteridge'a stanowi, że na każdy nagłówek prasowy kończący się znakiem zapytania można odpowiedzieć „nie". Ukraiński historyk Jurij Skira dwoi się jednak i troi, by z Wojtyły zrobić choćby w małej cząstce Ukraińca. Na obecnego papieża nie bardzo mogą liczyć, ratują się więc byłym i martwym. Zwłaszcza że na Ukrainie był, a jej niepodległość cenił wyżej niż Franciszek.

• • •

We wspomnianym artykule na oficjalnej stronie Cerkwi czytamy: „Przypuszczenie, że część rodziny Wojtyłów jest pochodzenia ukraińskiego, krąży od dawna, choć niewiele jest na to bezpośrednich dowodów w dokumentach. Przekonanie, że św. Jan Paweł II miał ukraińską krew, opierało się przede wszystkim na świadectwach i wspomnieniach osób bliskich rodzinie, a także na szczególnym stosunku samego Papieża do Ukrainy oraz doskonałej znajomości języka ukraińskiego, którego używał podczas swojej wizyty na Ukrainie w 2001 r. W swoich kazaniach i przemówieniach Iwan Paweł II często powtarzał: »Moja ukochana ziemia ukraińska«, »Moja święta ojczyzna«. Jan Paweł II mówił o swoim pokrewieństwie z Ukrainą w przemówieniu w Ukraińskim Instytucie Naukowym Uniwersytetu Harvarda. Powiedział wówczas, że jego matka Emilia była Rusinką (tak nazywano Ukraińców z Galicji i Wołynia w XIX i początkach XX w.) i to jej zawdzięczał znajomość języka ukraińskiego [...]. Jednocześnie nie ma bezpośredniego potwierdzenia ukraińskiego pochodzenia Jana Pawła II ani przez niego samego, ani przez Watykan za jego pontyfikatu".

Trzeba przyznać, że te przesłanki są nikłe.

Sprawny w wystąpieniach publicznych Wojtyła umiał się wszak podlizać publice. Ukrainę traktował – inaczej niż Franciszek – jako kraj, który trzeba wciągnąć w zachodnią strefę wpływów. Mówił więc, co chcieli tam usłyszeć albo powinni, żeby nie zerkać na Wschód. Mówił też w językach używanych w krajach, które odwiedzał – a właściwie czytał z kartki zapisy fonetyczne przemówień.

Zełenski sugerował w przemowie do Polaków, że za katastrofą smoleńską stoją Ruscy, Biden w Warszawie cytował Wojtyłę – ot, zwykłe sztuczki polityków. Dla każdego coś miłego, zwłaszcza jak chce się go urobić.

• • •

Dalej w tekście na stronie Cerkwi następuje historyczny wywód, na którego końcu historyk przyznaje, że tak naprawdę historia o ukraińskich korzeniach papy opiera się na opowieściach niezbyt wiarygodnego świadka. I że właściwie trzeba by to dopiero porządnie zbadać, zwłaszcza od strony matki Karola, Emilii z Kaczorowskich. Czyli tekst o niczym, można się rozejść. Wołyń jest zdecydowanie lepiej udokumentowany, a jakoś nie rwą się do chwalenia nim.

• • •

Przed Ukraińcami prawo do JP2 rościli sobie także Litwini. Sprawą korzeni Karola Wojtyły zajmowała się – ażeby ukrócić tę wojnę o prawa autorskie do papaja – polska biografka papieża i jego rodziny Milena Kindziuk. Dr Kindziuk dokładnie przygląda się genealogii papieża i jako polska autorka podkopuje wiarygodność tych, którzy twierdzą, że papież wcale nie był takim prawdziwym Polakiem, jak go malują. Nie bez racji wskazuje też na pogmatwane losy polskich rodów XIX i XX w., kiedy to przesuwały się granice, mieszały nazwiska i krew. Pogubione, podrobione i pomylone akta – trudno się czasem w tym wszystkim połapać i dać stuprocentową odpowiedź. Wiele sprowadza się do tak obrzydliwej współczesnemu polskiemu klerowi wielokulturowości. Post factum zresztą niejeden chwalił się pokrewieństwem z JP2, żeby dodać sobie splendoru albo ułatwić życie. Ukraińcy nie wiedzą chyba jeszcze, że papomania w tym sensie, jaki by chcieli, już dawno minęła.

• • •

Dr Kindziuk dyplomatycznie wbija szpilę tym, którzy podważają polskość największego z rodu nie tylko przecież Polaków, ale i Słowian. Pisze więc, że wprawdzie „to piękne, że różne narody chcą zaliczyć Jana Pawła II do swej rodziny", ale „z analizy źródeł historycznych wynika niezbicie, że Emilia Kaczorowska nie była ani Litwinką, ani Ukrainką, ani też Żydówką czy Słowaczką. Jej rodzina przywędrowała do Krakowa z Mazowsza, tam należy szukać najstarszych śladów rodziny papieża. Korzenie jego matki więc z całą pewnością są rdzennie polskie". Tak więc ni chuja, bracia Ukraińcy! To nasz papież i my będziemy robić o nim memy!

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

eprasa.pl 177f73f476

ale medycyny – niekoniecznie. Według niej zaś każdy rodzaj operacji ze wszystkimi detalami powinien być opisywany i publikowany. Od dziesiątków lat, kiedy ktoś wymyślił w chirurgii coś nowego, dzielił się wiedzą z uczniami i kolegami. Ba, jeździł z pokazowymi operacjami po świecie. Dzięki temu wszystkie zdobycze neurologii i kardiologii już po kilku latach stawały się standardową procedurą w setkach szpitali na całym globie.

Dlaczego zatem wąski zakres operacji jest od kilkunastu lat domeną tylko dwóch jednostek leczniczych? Oczywiście dlatego, że dzięki temu mogą sobie za nie winszować miliony dolarów. Gdybyśmy jednak spytali oba szpitale o procent zabiegów, który spowodował trwałe i zupełne przywrócenie zdrowia, to się nie dowiemy.

Tak jak i od fundacji, które najpierw zbierają kasę na umierające dzieciaczki, ale gdy pada pytanie, ile z nich przeżyło, a ile jest w pełni zdrowych, to już nie odpowiadają.

Tymczasem 10 mln zł to więcej, niż wynoszą wszystkie miesięczne koszty mającego 370 łóżek szpitala powiatowego w Polsce. W tym czasie szpital ten ratuje nie jedną, ale kilkadziesiąt osób, i to najczęściej z dobrymi rokowaniami na pełne wyzdrowienie. Nie wspominając o setkach takich osób, którym po prostu przywraca się w nim zdrowie. Orkiestra Owsiaka – skądinąd kumpla Maruszewskiego – nie daje zarobić cwanym zagranicznym klinikom. Dzięki temu nie przedłuża cierpień paru chorym, ale tysiącom z nich zapewnia długie i dobre życie.

TADEUSZ JASIŃSKI

Możesz myśleć tylko tak jak oni.

Izraelska policja myśli

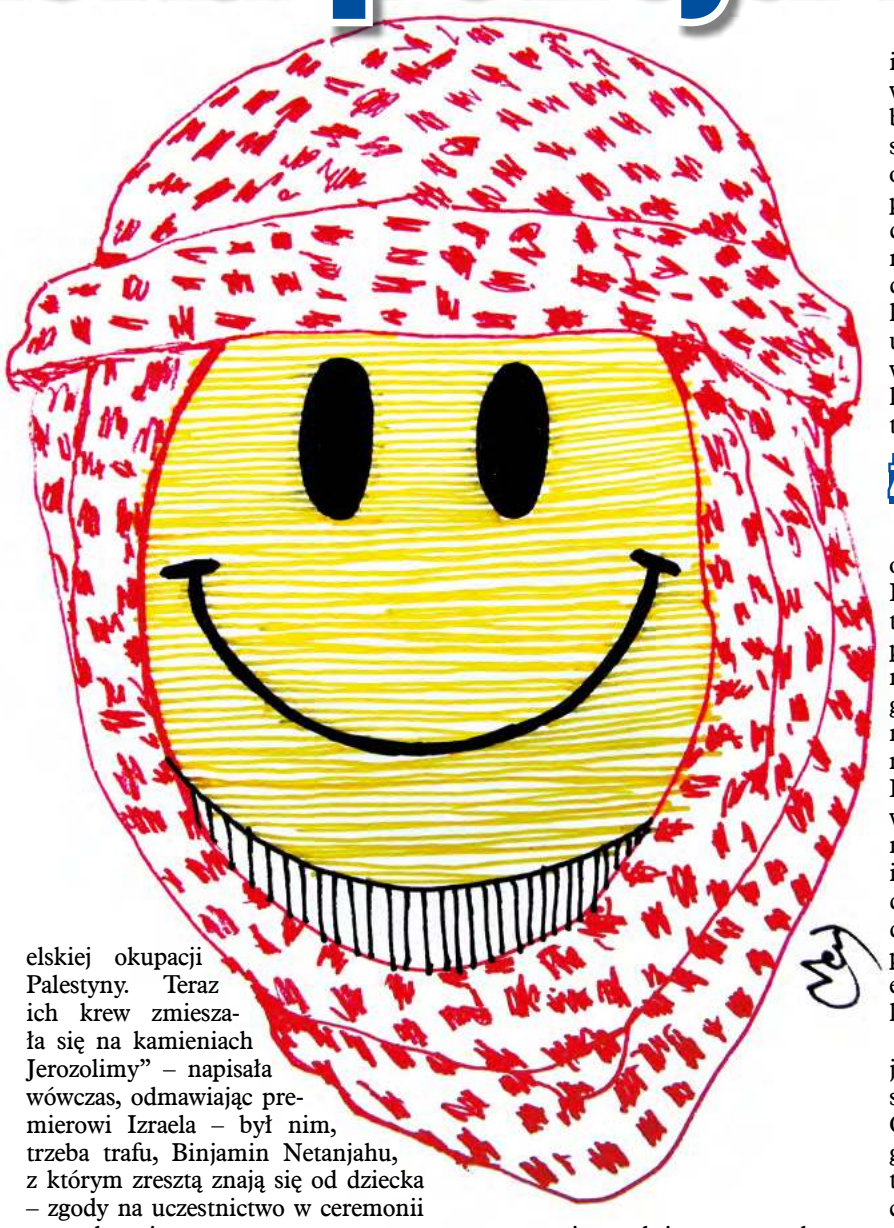

Prof. Nurit Peled-Elhanan, izraelska uczona wykładająca językoznawstwo na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie – i laureatka przyznawanej przez Parlament Europejski Nagrody Sacharowa „za wolność myśli" – na wewnętrznym forum pracowników naukowych uniwersytetu zacytowała Sartre'a: „Po tych wszystkich latach, kiedy przygniatałeś kark okupowanego do ziemi swoim żelaznym butem i nagle podniósł on wzrok – co spodziewałeś się zobaczyć w jego oczach?".

Nakba

Była to odpowiedź na komentarz jej kolegi po fachu, socjologa kultury prof. Gada Yaira, który powiesił na tym samym forum filmik określający Hamas mianem „nazistów" i wzywający do „drugiej Nakby". Nakba to czystka etniczna, dokonana przez Izrael na Palestyńczykach w 1948 r. Siły izraelskie przeprowadziły wówczas 30 pogromów, zrównując z ziemią 530 wsi i miasteczek, zabijając co najmniej 13 tys. ludzi. 750 tys. zostało wygnanych ze swoich domów; Izrael zajął 78 proc. palestyńskich terytoriów. W tej samej dyskusji prof. Peled-Elhanan nazwała atak Hamasu z 7 października „masakrą" i jej komentarz nie był w żaden sposób formą pochwały, a jedynie zmierzał do zrozumienia istoty konfliktu.

Nie była to pierwsza taka sytuacja w jej życiu: w 1997 r. jej 13-letnia córka Smadar zginęła w zamachu samobójczym przeprowadzonym przez bojownika Hamasu w zachodniej Jerozolimie. „Moja mała dziewczynka została zabita tylko dlatego, że była Izraelką, przez młodego mężczyznę, który był prześladowany i zdesperowany tak, że pchnęło go to do samobójstwa i morderstwa – tylko dlatego, że był Palestyńczykiem. Obydwoje są ofiarami izraelskiej okupacji Palestyny. Teraz ich krew zmieszała się na kamieniach Jerozolimy" – napisała wówczas, odmawiając premierowi Izraela – był nim, trzeba trafu, Binjamin Netanjahu, z którym zresztą znają się od dziecka – zgody na uczestnictwo w ceremonii pogrzebowej.

Kilka godzin po wymianie uwag na uniwersyteckiej grupie dyskusyjnej prof. Yoseph Frost, dziekan wydziału, na którym wykłada Peled-Elhanan, wezwał ją przed komisję dyscyplinarną, która miała zdecydować, czy zostanie zwolniona – za „okazanie zrozumienia dla okrutnych działań Hamasu" oraz „usprawiedliwianie tego zbrodniczego aktu".

Brygady Pawki

Nurit Peled-Elhanan akurat zwolniona nie została – jest zbyt prominentną postacią, za którą ujęło się międzynarodowe środowisko akademickie – ale setki innych obywateli Izraela, zarówno Żydów, jak i Palestyńczyków, tracą pracę, lądują w areszcie, a czasem muszą uciekać z domu za niedostateczny entuzjazm dla czystki etnicznej przeprowadzonej przez Izrael w Gazie.

Jak pisze w „New York Timesie" Michael Sfard, izraelski prawnik specjalizujący się w obronie praw człowieka,

setki studentów, głównie Izraelczyków narodowości palestyńskiej, poddawane są akcjom dyscyplinarnym i wydalane ze studiów za umieszczanie na swoich prywatnych mediach społecznościowych wpisów wyrażających solidarność z ludnością Gazy albo cytatów z Koranu, będących modlitwą za ginących.

To efekt wytężonej pracy specjalnych brygad, którym można by nadać imię Pawki Morozowa: grup prawicowych ekstremistów, które zajmują się bieżącym skanowaniem kont Palestyńczyków i Żydów podejrzewanych o propalestyńskie sympatie (izraelska prawica nazywa ich „samonienawidzącymi się Żydami") w poszukiwaniu zakazanych treści. Broń do ręki dał im Jo'aw Kisz, minister edukacji, który wydał okólnik zobowiązujący uniwersytety do natychmiastowego wydalania studentów, którzy gdziekolwiek wyrazili krytyczną opinię na temat polityki Izraela wobec Gazy.

Żydowska siła

Prześladowania nie kończą się oczywiście na uniwersytetach. Itamar Ben-Gewir, prawicowo-religijny ekstremista, szef partii Żydowska Siła, pełniący w rządzie Netanjahu funkcję ministra bezpieczeństwa wewnętrznego, powołał oddział specjalny, który ma walczyć z podżeganiem do terroryzmu. Wskutek tej walki tysiące Palestyńczyków trafiają do więzienia w ramach administracyjnego zatrzymania – to eufemizm, który pozwala izraelskim władzom arbitralnie wsadzić do pierdla każdego, kto jest podejrzewany o to, że mógłby popełnić przestępstwo przeciwko państwu Izrael; co dziś oznacza także wyrażanie krytycznej opinii o jego polityce.

Sfard pisze: „O ile mi wiadomo, ani jeden Izraelczyk narodowości żydowskiej, który nawoływał do zrównania Gazy z ziemią i przeprowadzenia drugiej Nakby lub wzywał do innych aktów terroryzmu wobec palestyńskich cywilów, nie został nawet przesłuchany przez policję", choć „media społecznościowe pełne są wypowiedzi osób publicznych – polityków, emerytowanych generałów, celebrytów, dziennikarzy – bezkarnie wygłaszających takie apele".

Bernie antysemita

Izrael nie ma też żadnych oporów przed uciszaniem krytycznych wobec siebie mediów – krajowych i zagranicznych. Międzynarodowe organizacje dziennikarskie – Reporterzy bez Granic, Komitet na rzecz Ochrony Dziennikarzy – donoszą o dziesiątkach (najnowszy rachunek mówi o 34) reporterów wojennych zabitych w strefie konfliktu, głównie w wyniku bombardowań i ostrzału izraelskiego. Inni są aresztowani, bici, upokarzani, rozbierani do naga, ich sprzęt jest konfiskowany lub niszczony, zwłaszcza jeśli izraelska armia podejrzewa, że są Arabami. Kompletna bezkarność izraelskiej armii i policji nikogo już w sumie nie dziwi, ale 7 października przybrała nowy ekstremalny wymiar.

Kolektywny Zachód ustępuje przed groźbą zarzutu antysemityzmu – i, niestety, dotyczy to także świata lewicy. Jeden z przykładów wydaje mi się szczególnie warty wspomnienia: współprzewodnicząca niemieckiej SPD Saskia Esken postanowiła zbojkotować niemiecką premierę książki lidera lewego skrzydła amerykańskiej Partii Demokratycznej Berniego Sandersa, tłumacząc, iż uczyniła tak, albowiem Bernie „nie stanął jednoznacznie po stronie Izraela przeciwko terrorowi Hamasu".

Oświadczenie Sandersa, które tak oburzyło tow. Esken, brzmiało: „Ataki na ludność cywilną są zbrodnią wojenną, bez względu na to, kto się ich dopuszcza. Nie zapominajmy, że połowa z dwóch milionów ludzi w Strefie Gazy to dzieci. Dzieci i niewinni ludzie nie zasługują na karę za czyny Hamasu". Bernie dodaje, że jest Żydem, a rodzina jego ojca zginęła w holokauście, ale nadal uważa, że krytykowanie polityki prawicowych władz Izraela nie jest antysemityzmem.

AWŁ

WIARA CZYNI CZUBA

1. Katolicka agencja CNA donosi o cudzie: huragan Otis oszczędził kopię figurki Matki Boskiej z Guadalupe, umieszczoną na szczycie klifu La Quebrada, z którego młodzi chłopcy z Acapulco skaczą do morza ku uciesze turystów. Klif ma 45 metrów wysokości, a basen skalny, w którym lądują, maksymalnie 4 metry głębokości i 7 metrów średnicy, toteż trudno się dziwić, że nurkowie mają zwyczaj przeżegnać się i pomodlić przed skokiem. Na tę okoliczność w skale wykuto wnękę, a w niej umieszczono figurkę, która w 2022 r. została pobłogosławiona przez o. Eduarda Cháveza, eksperta od objawień z Guadalupe. Huragan Otis pod koniec października zdewastował południowy Meksyk, powodując śmierć co najmniej 48 osób, a 58 kolejnych uznano za zaginione, ale zielona szata gipsowej Bozi nie ucierpiała. O szczęście niepojęte.

2. Nowy dokument Netflixa zatytułowany „Proces diabła" przypomina historię z lat 80., kiedy to niejaki Arne Cheyenne Johnson, 19-latek z Brookfield w stanie Connecticut, rzucił się na szefa swojej narzeczonej Alana Bono i zadźgał go na śmierć kieszonkowym nożem. Podczas procesu Johnson zeznał, iż nie odpowiada za zabójstwo, albowiem jest opętany przez demona, który wkroczył w jego ciało podczas egzorcyzmów, jakim poddany został jego 11-letni brat David kilka miesięcy wcześniej. Rodzice Davida uznali, że jest on opętany, kiedy dzieciak opowiedział im, że widuje starego człowieka, który zamienia się w bestię, mamrocze po łacinie i grozi, że ukradnie mu duszę. Sąd nie uznał argumentów obrony i skazał zabójcę na 10 do 20 lat więzienia, z których odsiedział zaledwie pięć – co może wskazywać, że demoniczna opowieść kogoś jednak przekonała.

3. Monique LaGrange z Regionalnej Rady Szkół Katolickich w Red Deer w Kanadzie opublikowała na portalu X mem z dwoma zdjęciami. Pierwsze pochodziło z hitlerowskich Niemiec i były na nim dzieci wymachujące flagami ze swastyką – na drugim, kolorowym, widać było współczesną szkolną klasę, a dzieci miały flagi tęczowe. Podpis brzmiał: „Pranie mózgów to pranie mózgów". Po tym, jak Rada została zasypana pismami z wnioskiem o wylanie homofobki, Monique usunęła mem i złożyła wyjaśnienia: „Żadna rozsądna osoba nie wywnioskowałaby z mema, że to, co zrobili naziści, było akceptowalne lub miało cokolwiek wspólnego ze społecznością LGBTQ". Monique poinformowała również, że „bardziej myślała o politycznej części mema niż o czymkolwiek innym" i „zapytała o to Ducha Świętego", który „powiedział: »Zrób to, zrób to«".

4. F.L. „Bubba" Copeland, mer Smiths Station w Alabamie i pastor Pierwszego Baptystycznego Kościoła, zatrzymany przez policję, wysiadł z samochodu z pistoletem w ręku i strzelił sobie w głowę. Było to po tym, jak prawicowy portal 1819 News opublikował artykuł, w którym obnażał go jako „Brittini Blaire Summerlin", „transpłciową dziewczynę z krągłościami" publikującą na Instagramie zdjęcia w stanikach, peruce i makijażu. Copeland tłumaczył, że drag to hobby, które pomaga mu pozbyć się stresu, że jego żona o tym wie, i prosił o nieujawnianie tego, ale prawacy z portalu uznali, że to świetny temat. Copeland nie należał do konserwatywnego odłamu baptyzmu, nie uprawiał homofobicznej czy transfobicznej retoryki, nie był w żadnym stopniu hipokrytą – był po prostu człowiekiem z nieoczywistymi fantazjami. Teraz 1819 News ma jego krew na rękach.

5. Andrew Fortner, trener drużyny koszykarskiej z publicznego Liceum Dziedzictwa Białego Domu w Tennessee, pochwalił się na platformie X, że jego podopieczni mieli konkurs rzutów wolnych i „wiedzieli, że czeka na nich nagroda". Nagrodą dla piątki zwycięzców była otóż okazja do umycia nóg swoim kolegom z drużyny. „Kiedy myliśmy nogi, ja odczytałem wers z Ewangelii świętego Jana" – chwali się Fortner. Post został już skasowany, ale wcześniej przechwyciła go Fundacja Wolność od Religii: „Kiedy trenerzy promują swoją osobistą religię wśród uczniów i instruują ich, jak odgrywać biblijną historię, czytając im równocześnie Pismo Święte, uczniowie bez wątpienia czują, że zgadzanie się z religijnym punktem widzenia trenera i uczestniczenie w czynnościach religijnych jest niezbędne, aby zadowolić trenera i być postrzeganym jako gracz zespołowy". Ano.

6. Odkąd Sąd Najwyższy USA unieważnił proaborcyjny wyrok w sprawie Roe vs Wade i kolejne stany wprowadziły zakazy, administracja Bidena gwarantuje żołnierkom i oficerkom amerykańskiej armii służącym w tych stanach bezpłatny transport do miejsc, gdzie mogą legalnie przerywać ciążę. W odpowiedzi antyaborcyjny senator Tommy Tuberville z Alabamy postanowił głosować przeciwko wszystkim nominacjom oficerskim. Senat USA zatwierdza promocje i awanse w głosowaniu, które zazwyczaj odbywało się blokami i jednogłośnie, jednak dzięki Tuberville'owi teraz trzeba głosować nad każdą oddzielnie. Latem, kiedy na przegłosowanie czekało 260 oficerów, szef komisji obrony obliczył, że zajmie to 27 dni, pod warunkiem że senat będzie głosował 24 godziny na dobę. Obecnie oficerów do przegłosowania jest 376.

eprasa.pl 177f73f476

Starcy, kobiety i dzieci

O Strefie Gazy i Izraelu tygodnik „NIE” rozmawia z ambasadorem Palestyny w Polsce MAHMOUDEM KHALIFĄ.

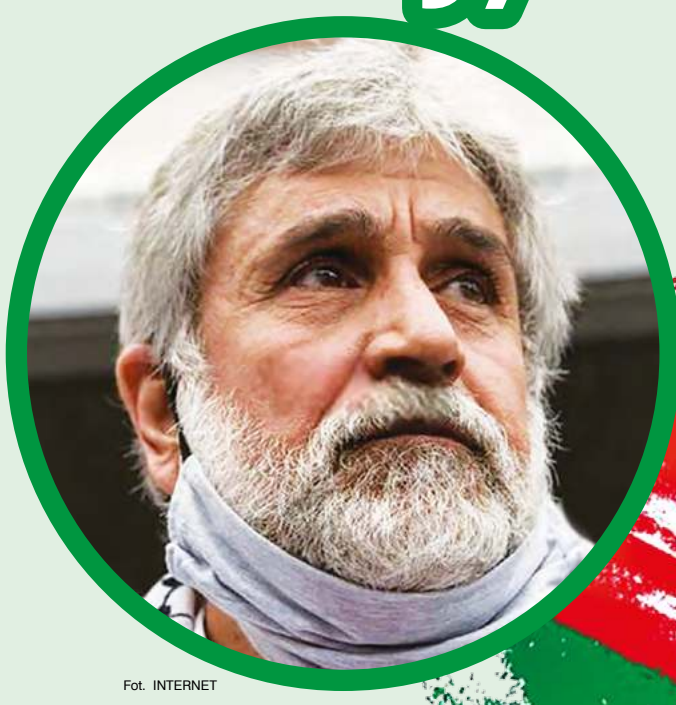

Fot. INTERNET

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Jaka jest aktualnie sytuacja w Strefie Gazy?

– Na dzień dzisiejszy, a rozmawiamy 6 listopada, mamy już prawie 10 tys. zabitych cywilów, w tym ponad 4 tys. dzieci, 2,5 tys. kobiet i wielu starców. Obecnie prawie 50 proc. zasobów mieszkaniowych nie nadaje się do użytku. Izrael używa zakazanej broni, np. białego fosforu. Od pierwszego dnia tej agresji Izrael niszczy życie w Strefie Gazy. Gaza będzie potrzebowała ogromnego wysiłku międzynarodowego, żeby po zakończeniu agresji zmienić się z morza gruzów w normalne miejsce do życia.

– A czy przed eskalacją konfliktu z 7 października życie na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy było choćby zbliżone do normalności?

– Od 75 lat Izrael stosuje wszelkiego rodzaju okrucieństwo i przemoc przeciwko Palestyńczykom, w tym kobietom i dzieciom, uniemożliwiając normalne życie w Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu. Osadnicy izraelscy na Zachodnim Brzegu cały czas szturmują palestyńskie wioski. Dwa miesiące temu podpalili zamieszkane domy w miejscowości Turmus Aya oraz w miasteczku Duma. Kilka rodzin spłonęło wówczas żywcem. W okolicach Dżeninu osadnicy strzelają do Palestyńczyków i wycinają gaje oliwne, które są dla miejscowych źródłem utrzymania. Izrael regularnie szturmuje obozy dla uchodźców na Zachodnim Brzegu oraz w Dżeninie, aby sprowokować przemoc i kolejny raz eskalować konflikt. Jeszcze przed obecną eskalacją Palestyńczycy nie mogli swobodnie poruszać się po Zachodnim Brzegu bez specjalnej przepustki wydawanej przez izraelską administrację. Każde miasto na Zachodnim Brzegu jest małym gettem, a na rogatkach stoją izraelskie blokady. Z kolei Palestyńczycy w Jerozolimie nie mają prawdziwych dowodów osobistych, a jedynie dowód mieszkańca. Jednak jeżeli wyjadą z Jerozolimy na 3 lata, tracą prawo pobytu i nie mogą już wrócić do swojego domu. Izrael po prostu traktuje Palestyńczyków jak podludzi. Czy to nie jest apartheid?

– Powiedział pan, że każde miasto na Zachodnim Brzegu to małe getto. Czy wynika to z podziału Zachodniego Brzegu na strefę A (ok. 18 proc. terytorium), w której władzę polityczną i wojskową sprawuje strona palestyńska, strefę B (ok. 22 proc. terytorium), gdzie władzę polityczną sprawują Palestyńczycy, ale stacjonują tam siły izraelskie, oraz strefę C (ok. 60 proc. terytorium) w całości kontrolowaną przez Izrael? Jak patrzy się na mapę Zachodniego Brzegu, to strefy A i B wyglądają właśnie jak getta ze wszystkich stron otoczone strefą C.

– Tak jak powiedziałem, każde miasto na Zachodnim Brzegu jest zamkniętym gettem. Tak było od wielu lat, ale od 7 października jest jeszcze gorzej – poruszanie się po Zachodnim Brzegu jest praktycznie niemożliwe. Nie można także wyjechać do Jordanii, ponieważ Izrael kontroluje przejścia graniczne, które zamyka i otwiera, kiedy chce. Izrael, okupując tzw. strefę C, uniemożliwia rozwój Palestyny, ponieważ to ziemia strategiczna dla rolnictwa i przemysłu palestyńskiego. Ponadto Izrael buduje swoje osiedla wszędzie – w strefie A, B i C. Osadnicy zaś są ponad prawem, a ostatnio izraelski minister bezpieczeństwa Ben-Gewir rozdał 250 tys. sztuk broni ręcznej osadnikom na Zachodnim Brzegu. Prowadzi to do terroryzowania Palestyńczyków, którym osadnicy m.in. blokują drogi, oraz pogromów i masowych strzelanin.

Rząd w Izraelu uważa, że stoi ponad prawem i – m.in. dzięki wsparciu Stanów Zjednoczonych – nie ma możliwości, aby postawić go przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości. Taka postawa nie poprawia bezpieczeństwa, lecz prowadzi do eskalacji sytuacji.

– Mimo ciągłego bombardowania cywilów i odcięcia Gazy od wody i elektryczności Joe Biden deklaruje, że „Izrael ma pełne poparcie USA”. Izrael może liczyć także na wsparcie państw europejskich oraz światowych mediów. Jak pan sądzi, z czego to wynika?

– Izrael działa na zlecenie Stanów Zjednoczonych, więc ma ich pełne poparcie. Tel Awiw jest marionetką Waszyngtonu, a celem Stanów Zjednoczonych jest eskalowanie konfliktu. Niestety na masakry cywilów nie ma reakcji społeczności międzynarodowej, nie ma reakcji krajów europejskich i oczywiście nie ma reakcji USA. W ogóle sądzę, że obecna sytuacja jest po części winą społeczności międzynarodowej, która nie naciskała na realizację żadnych rezolucji Zgromadzenia Ogólnego i Rady Bezpieczeństwa ONZ ani nie pomogła w realizacji dwustronnych porozumień izraelsko-palestyńskich. Rozwiązanie dwupaństwowe popierały m.in. UE i USA, ale gdy dostrzegły, że strona izraelska zwleka i ucieka od rozwiązania pokojowego, dialogu i zawsze szuka jakiegoś pretekstu do eskalacji – buduje osiedla na Zachodnim Brzegu, utrudnia życie codzienne i rozwój ekonomiczny Palestyńczykom – zamiast naciskać na rozwiązanie konfliktu, stanęły po stronie Izraela. Rezultatem jest tragiczna sytuacja, jaką mamy obecnie. Bez rozwiązania pokojowego nie da się zakończyć konfliktu, ponieważ Izrael nie prowadzi wojny z rządem czy państwem, ale przeciw cywilom i szerzej cywilizacji palestyńskiej. Czy możemy sobie wyobrazić reakcję świata, gdyby zostało zamordowanych 10 tys. Izraelczyków? Czy świat by milczał i opowiadał o prawie do samoobrony przed cywilami, tak jak w tej chwili? Niestety, obecnie reakcja społeczności międzynarodowej nie jest odpowiednia, ponieważ jest ona pod silnym wpływem USA i Izraela.

Izrael bombarduje obozy dla uchodźców, odcina wodę, prąd i łączność. Jest to notoryczne łamanie prawa międzynarodowego. Tymczasem społeczność międzynarodowa jest skrępowana i milczy, zaszantażowana przez USA i Izrael.

– Media, podobnie jak większość polityków państw zachodnich, na ogół dość jednoznacznie wspierają Izrael. Jednak opinia publiczna ma na ten temat inne zdanie. Demonstracje solidarności z Palestyną przetaczają się przez miasta w całej Europie. Warszawska demonstracja była największym protestem antywojennym od czasu wojny w Iraku w 2003 r. Kontrdemonstracje syjonistyczne są wielokrotnie mniej liczne.

– Te demonstracje są wyrzutem sumienia społeczeństwa, którego rządy powinny słuchać. Słuchać poważnie, ponieważ życie ludzkie nie jest pustym sloganem, lecz najważniejszą wartością. Demonstracje na całym świecie są sprzeciwem wobec tego okrucieństwa, wobec tej wojny, wobec zabijania cywilów, kobiet i dzieci. Są protestem przeciwko atakom Izraela na szkoły i szpitale. Niestety dla niektórych rządów życie ludzkie nie jest jednakowe. Jednych można zabić, a innych trzeba chronić. Albo będziemy traktować życie ludzkie i prawa człowieka jednakowo, albo powiedzmy wyraźnie, że stosujemy podwójne standardy. Powiedzmy, że Rada Bezpieczeństwa ONZ jest nie dla wszystkich i nie ma chronić życia, bezpieczeństwa i stabilności na całym świecie, tylko na niektórych jego obszarach.

Jeżeli chodzi o media, niektóre redakcje zaczynają pracować fachowo – pokazują, co się dzieje po jednej i po drugiej stronie. Jednak inne media, niestety również w Polsce, nie pokazują tego, co się dzieje w Strefie Gazy, ale widzą, że Izrael ma prawo do samoobrony. Niestety, nie dodają, przed kim ma się bronić Izrael. Przed cywilami?

– Izrael zawsze twierdzi, że broni się przed Hamasem, a morderstwa cywilów są skutkiem ubocznym operacji wymierzonych w Hamas. Nawet wspomniane ataki na obozy dla uchodźców były usprawiedliwiane jako operacje antyterrorystyczne wymierzone w bojowników tej organizacji. Jaka jest pozycja Hamasu na terenie Palestyny?

– W tej chwili nie jest ważne, jaka jest pozycja Hamasu, ale mogę stwierdzić, że rządy USA i niektórych państw europejskich oraz pewne media szukają kozła ofiarnego, żeby Izrael mógł dalej bezkarnie mordować. Polityczne wybory Palestyńczyków i tym samym pozycja tego albo tamtego ugrupowania rozstrzygają się przy urnie wyborczej. Palestyńczycy nie mogą spokojnie iść do urn wyborczych, ponieważ Izrael wciąż ucieka od wdrożenia porozumień dwustronnych i rezolucji międzynarodowych. Tym samym Palestyna nie może normalnie funkcjonować, nie da się także przeprowadzić wyborów. Każdy Palestyńczyk chciałby móc normalnie żyć w demokratycznym państwie, ale Izrael cały czas kluczy i jak dochodzimy do konkretów, to zawsze zmienia się kurs polityczny w Tel Awiwie. Jeżeli Izrael chciałby rozwiązania pokojowego, to znajdzie wśród Palestyńczyków miliony chętnych do życia w spokojnym, demokratycznym i pokojowym państwie.

– Wspomniał Pan, że rząd Izraela wciąż zmienia kurs w sprawie konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Jaka była strategia rządu Benjamina Netanjahu w tej kwestii?

– Chcę powiedzieć wprost: w ostatnim czasie Netanjahu zaczął działać przeciw własnym izraelskim obywatelom. Obecny gabinet Izraela chciał zmienić cały system prawny, żeby tylko zachować władzę. Netanjahu chciał utrzymać się na stanowisku premiera, ponieważ czekają na niego różne sprawy sądowe i wciąż ucieka przed sprawiedliwością. Dla niego rozwiązaniem jest trzymanie się władzy, ale ceną dla wszystkich mieszkańców zarówno Izraela, jak i Palestyny jest eskalacja konfliktu, okropieństwo wojny, masakry cywilów. Ponad tysiąc zabitych rodzin w Strefie Gazy – codziennie słyszymy o zamordowaniu 100–150 osób. Podczas ataku na szpital Al-Ahli zginęło prawie 500 osób. Parę dni temu zaatakowano karetki pogotowia i zginęło prawie 25 osób. Izrael pod wodzą Netanjahu potrafi uciekać się wyłącznie do przemocy.

– Rząd Izraela nie tylko nie przejmuje się ofiarami wśród cywilów, ale wprost ustami ministra obrony nazywa Palestyńczyków zwierzętami. Z kolei posłanka Likudu Galit Distel domaga się na Twitterze „wymazania Gazy z powierzchni Ziemi” i życzy Gazańczykom śmierci.

– To nie wszystko. Izraelski minister bezpieczeństwa Itamar Ben-Gewir powiedział wyraźnie, że życie Izraelczyka jest ważniejsze niż życie Palestyńczyka; minister finansów Becalel Smotricz stwierdził, że Izrael powinien spalić palestyńskie miasto Huwara; a minister dziedzictwa Amihaj Elijahu zastanawiał się publicznie nad zrzuceniem na Gazę bomby atomowej. To są publicznie wyrażane poglądy i propozycje, nad którymi debatuje rząd Izraela. Nie ma na to reakcji społeczności międzynarodowej. Amerykanie schlebiają temu, a sami pierwsi użyli broni jądrowej przeciwko cywilom!

– Czy widzi pan jakieś perspektywy na rozwiązanie tego konfliktu?

– Obecna wojna to świadectwo dla całego świata, że najwyższy czas rozwiązać ten konflikt. Zawsze są perspektywy – wszystko jest w rękach USA. To Stany Zjednoczone dominują nad opinią i społecznością międzynarodową, decyzjami Rady Bezpieczeństwa i Zgromadzenia Ogólnego ONZ oraz oczywiście polityką Izraela. Waszyngton ma klucz do rozwiązania tego konfliktu, ale czy to jest w interesie USA? Niestety, wygląda na to, że w interesie USA jest utrzymanie status quo.

– Czy zatem są jakieś realne perspektywy zakończenia wojny?

– Niestety, Stany Zjednoczone nie chcą rozwiązać tego konfliktu. Obecna eskalacja gasi ostatnie iskierki nadziei wśród Palestyńczyków, którzy chcą po prostu normalnie żyć w pokoju. Ja jednak mimo wszystko wciąż mam nadzieję, że konflikt uda się rozwiązać.

Rozmawiał **MAREK SANOWSKI**

eprasa.pl 177f73f476

Nowe szaty Ukrainy

Jak pączki w maśle, droga przez mękę czy peryferyjność.

Zauważyliście, że już można. Nie tylko w tygodniku „NIE", jak do tej pory, ale też w mediach głównego nurtu, największych polskich gazetach i portalach internetowych.

Można już pisać, że bombastycznie zapowiadana i realizowana „Wielka Ukraińska Ofensywa Wyzwoleńcza" utknęła na rosyjskich liniach obrony.

Można już informować, że wojska ukraińskie też ponoszą straty osobowe, a nawet tracą otrzymany od NATO sprzęt uznawany za niezniszczalny. I nie być okrzykniętym ruską onucą. Obelgą gorszą niż niedawno „komunista".

Doszło nawet do tego, że można już nawoływać do szybkiego zawarcia rozejmu między walczącymi w Ukrainie i nie być uznanym za Putinowskiego trolla.

Sfinlandyzować

Można do rozejmu nawoływać, bo każdy widzi, że wojska ukraińskie nie pokonają rosyjskich. A rosyjskie nie zwasalizują ukraińskiego państwa. Bo USA osiągnęły swój strategiczny cel, czyli osłabiły militarnie i gospodarczo Rosję. A

upadek Rosji, a zwłaszcza jej niekontrolowany rozpad, nie jest w interesie Waszyngtonu i największych państw Unii Europejskiej też. A także Turcji, Chin, Indii, Arabii Saudyjskiej, Brazylii, RPA i Egiptu. Świat wchodzi w fazę zmęczenia wojną w Ukrainie, widać pierwsze przejawy irytacji nią.

Nic dziwnego, że wokół Moskwy i Kijowa roi się od sekretnych wysłanników najważniejszych państw zachęcających do szybkiego zawarcia rozejmu.

Jego najpoważniejszą przeszkodą jest „demokracja". Ta „demokracja" wymaga raz na jakiś czas przeprowadzenia wyborów władz, najlepiej przez głosowanie obywateli. Dlatego w Rosji powinny odbyć się w 2024 r. wybory prezydenckie. A w Ukrainie, też w 2024 r., wybory prezydenckie i zaległe, z roku 2023, wybory parlamentarne. Wynik wojny będzie miał znaczący wpływ na ich wyniki.

Oczywiście rosyjskiej grupie trzymającej władzę będzie lżej. W Rosji panuje „demokracja suwerenna", co czyni z niej państwo nieortodoksyjnie demokratyczne. Obecna władza kontroluje administrację państwową, gospodarkę i media. Dzięki temu udział obywatela wyborcy w wyborze władz państwa został tam znacząco zredukowany.

Rys. TOMASZ WIATER

Dodatkowo Rosja nadal utrzymuje zdobyte terytoria, należące niedawno do państwa ukraińskiego. Prezydent Putin żyje, choć nie wiadomo jak długo. Rosja przygotowana jest na długą wojnę. Może spróbować zyskać dodatkowe ukraińskie terytoria. Będzie też rujnować wszelką ukraińską infrastrukturę, aby osłabić przeciwnika na przyszłość.

Dlatego podczas przyszłorocznych wyborów prezydent Putin lub jego następca odtrąbi zwycięstwo w ukraińskiej „operacji wojskowej".

Prezydentowi Zełenskiemu i jego grupie będzie o wiele trudniej. Ukraina nadal jest nieortodoksyjna demokratycznie, ale nie tak bardzo jak Rosja. Prezydent Zełenski kontroluje administrację, gospodarkę i media, ale tylko dzięki stanowi wojennemu. Chętnie by przełożył wybory, przedłużając tym swe panowanie, lecz Waszyngton naciska na ich przeprowadzenie. Przypomniał o tym w sierpniu senator Lindsey Graham z Partii Republikańskiej podczas wizyty w Kijowie. Także Tiny Cox, przewodniczący Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Zapewne przypominał o tym każdy „demokratyczny" polityk podczas kontaktów z władzami Ukrainy.

Niestety politycy Zachodu, czyli sponsorzy państwa ukraińskiego, uparli się, żeby w Ukrainie odbyły się „wolne i uczciwe wybory". Bo ich wyborcy muszą wiedzieć, że Ukraina się zmieniła, zrobiła kolejny krok w „demokratycznym rozwoju".

Niestety, aby „wolne i uczciwe" wybory wygrać, prezydent Zełenski musi mieć sukces w wojnie. Albo przynajmniej przekonać wyborców, że taki osiągnął. Dlatego zachodni sojusznicy masowo zaczęli już suflować mu dobre, ich zdaniem, argumenty.

Prezydent Zełenski może wybrać „wariant fiński". Ukraina nie musi wtedy odzyskać wszystkich swych terytoriów, aby ogłosić swe wielkie zwycięstwo. Finlandia po wojnie z ZSRR w 1940 r. też oddała część swego terytorium. Mimo to dziś uważamy, że tamtą wojnę jednak wygrała. Bo dziś każdy Fin żyje jak pączek w maśle.

Dlatego wizja Ukrainy jako przyszłej drugiej Finlandii może być chwytliwa w kampanii wyborczej i przedłużyć władzę ekipie prezydenta Zełenskiego.

Skoreanizować

Oczywiście wszyscy ci suflerzy, jak ostatnio polski gen. Tomasz Drewniak, ekspert Fundacji Stratpoints, nie wyjaśniają, w jaki sposób Finlandia doszła do obecnego dobrobytu. Nie przypominają, że przez dekady była państwem neutralnym, czasem przymusowo przyjaznym wobec ZSRR. Nie zawsze przestrzegającym demokratycznych standardów.

Za to korzystała z tanich radzieckich surowców i otwartego tam wielkiego rynku zbytu dla produktów fińskiego rolnictwa i przemysłu.

Jednak po zawieszeniu broni Ukraina neutralna wobec Rosji nie będzie. Bo już zgłosiła wolę akcesji do NATO i Unii Europejskiej. Dlatego też musi tak bardzo dbać o „wolne i uczciwe wybory" i postępy w „demokratycznym rozwoju", by przekonać też wyborców państw NATO i UE.

Zatem bardziej prawdopodobna będzie koreanizacja relacji ukraińsko-rosyjskiej. Zawarcie rozejmu w działaniach wojennych. Uszczelnienie wspólnie nieuznawanej granicy państwowej. Zamrożenie konfliktu do działań dywersyjnych, aktów terroru, szpiegowania się.

Jeśli na terenie Ukrainy osadzą się wojska USA lub NATO, to wojna trwać będzie przede wszystkim w sferze agresywnej propagandy, nakręcających się kosztownych zbrojeń i rywalizacji poziomami życia obywateli.

Strategicznie wygra to państwo, które zapewni swym obywatelom lepszy dobrobyt. Ukraina wygra, jeśli to do niej będą emigrować lub przedzierać się przez granicę obywatele Rosji.

Ale znów suflerzy koreanizacji nie przypominają, że bogata obecnie, stawiana za wzór Ukrainie Republika Korei przeszła istną drogę przez mękę, zanim osiągnęła obecny dobrobyt. Musiała znieść okresy powszechnego głodu, niższego poziomu życia niż w północnej KRLD, dyktatur wojskowych, zamordyzmu i powszechnej korupcji. Czy wizja takiego światełka w tunelu porwie obywateli Ukrainy żyjących już w czarnej ekonomicznej dupie?

Zmołdawić

Czas bezkrytycznego wsparcia NATO i UE, swoisty okres ochronny dla walczącej Ukrainy w zachodnich mediach się kończy. Ekipa prezydenta Zełenskiego musi teraz wygrać jak najkorzystniejszy rozejm dla siebie i Ukrainy. Aby na ostatniej wysokiej fali wsparcia międzynarodowego związać się jak najsilniej ze strukturami NATO i gospodarką Unii Europejskiej. Aby skorzystać na funduszach pomocowych, zanim zostaną wysłane, by uspokoić okupowanych w Izraelu Palestyńczyków. Zanim kolejna ważna regionalna wojna nie przykryje medialnie nudnej już wojny rosyjsko-ukraińskiej.

Ukraińcom grozi też wariant mołdawski. Oderwanie części państwowego terytorium z trwałą utratą kontroli nad nim. Stopniowa trudna odbudowa gospodarki i infrastruktury. Zejście problemu ukraińskiego z pierwszych stron gazet. Uznanie konfliktu rosyjsko-ukraińskiego za peryferyjny i drugorzędny. Zamrożenie międzynarodowego statusu Ukrainy jako stałego, ciągle oczekującego pełnoprawnego kandydata do NATO i Unii Europejskiej. Utrwalenie tam gospodarki zależnej od obcych kapitałów, o neokolonialnym statusie. Powstanie państwa produkującego migrantów zarobkowych, zamieszkanego przez ludzi starych i inwalidów wojennych.

Czy da się wtedy utrzymywać tam demokratyczne standardy tak wymagane przez NATO i Unię Europejską?

PIOTR GADZINOWSKI

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

Historii pt. „Śmierć Putina" ciąg dalszy. Na łamach „Gazety Polskiej Codziennie" Jerzy „Bayraktar" Lubach ujawnia: „Prawdziwy Putin najprawdopodobniej zmarł już w roku 2009, co potwierdziła jego była żona w wywiadzie dla niemieckiej prasy, oczywiście wkrótce zdementowanym. Jednakże każdy pamiętający ówczesnego lokatora Kremla z trudem dopatrzy się jego rysów i charakterystycznego, z zająkiwaniem się, sposobu mówienia w tym dzisiejszym przywódcy Rosji, ponoć znów zmarłym". Jednakże, jak pisze dalej Lubach: „Właściwie nie ma większego znaczenia, czy rządził prawdziwy Putin, czy któryś z jego sobowtórów, gdyż w istocie były to rządy znacznie bardziej kolektywne niż te ogłoszone przez Chruszczowa w ramach obalania kultu Stalina". Konkludując, Rosją rządzi kolektywny seryjny samobójca. Jak to się ma do dotychczasowych rewelacji „GPC" o wszechmocnym i krwawym dyktatorze trzęsącym całą Rosją?

Marek Herman na łamach „GPC" zachwyca się przywiązaniem Stanów Zjednoczonych do idei demokratycznych wyborów: „Tajemnicą poliszynela jest, że Amerykanie naciskają na władze Ukrainy, by wiosną mimo wojny przeprowadziły wybory. Dla Waszyngtonu to ważne samo w sobie jako wartość. Administracja USA uważa, że jeśli wspiera bronią jakiś rząd, to najlepiej, by posiadał demokratyczną legitymację. […] [Amerykanie] wielokrotnie przeprowadzali wybory w czasie konfliktów, także domowych. W ich przekonaniu zawirowania polityczne to mniejsze zło niż rząd i prezydent bez odnowionej legitymacji". Pewnie to przywiązanie do demokracji skłoniło jankesów do obalenia demokratycznie wybranego prezydenta Chile Salvadora Allende i wprowadzenia w Chile na 20 lat dyktatury Pinocheta.

Były wiceminister obrony Ukrainy Wiaczesław Szapowałow został oskarżony o zdefraudowanie prawie miliarda hrywien (27 mln dolarów) przy okazji przetargu na zakup mundurów wojskowych. Wcześniej Szapowałowa oskarżono o defraudację przy okazji zakupów żywności oraz kamizelek kuloodpornych. Nowy spiker Izby Reprezentantów USA Mike Johnson powiedział niedawno: „W zeszłym roku amerykańscy podatnicy przesłali Ukrainie ponad 100 mld dolarów. Amerykanie zasługują na to, aby wiedzieć, czy ukraiński rząd jest całkowicie otwarty i przejrzysty, jeśli chodzi o wykorzystywanie tej ogromnej sumy zasobów naszych podatników". Cóż, póki co wiemy, że 27 mln zdefraudował Szapowałow. Kto zdefraudował pozostałe 99 973 mln dowiemy się pewnie niebawem.

„Najważniejszy ukraiński generał przyznał, że kontrofensywa nie przyniosła oczekiwanych rezultatów, a widowiskowego przełamania frontu raczej nie należy oczekiwać" – donosi „Dziennik Gazeta Prawna". W „NIE" zauważyliśmy to jakieś trzy miesiące temu.

Rys. MICKIEWICZ

„Newsweek" opublikował fragment książki Witolda Jurasza o prezydencie Białorusi Aleksandrze Łukaszence: „Było w nim coś, co w mojej opinii tłumaczy jego wówczas jeszcze realnie istniejącą popularność. Pamiętam zdziwienie, gdy mój amerykański kolega, szefujący placówce USA w Mińsku, określił Łukaszenkę jako »idealistę w jego własny pokręcony sposób«. W istocie ten opis był chyba dość trafny. […] Oto bowiem pojawił się polityk, który, owszem, pragnął władzy, ale też chciał stać się kimś, kto zadba o naród […]. Aleksander Łukaszenka [kiedyś mi] powiedział: »Wyście im [Litwinom] kiedyś odebrali stolicę, a oni wam teraz odbiorą historię«. Słowa te do dzisiaj dźwięczą mi w uszach. Nie była to uwaga prostaka, lecz inteligenta. A na pewno człowieka, który zna historię i rozumie jej złożoność". Morał z tej książki jest prosty – polskie elity straciły już wiarę w zmianę władzy w Mińsku i postanowiły się z Łukaszenką na nowo ułożyć.

Dwa pisowskie tygodniki – „Do Rzeczy" i „Sieci" – stały się ofiarą tzw. przekazów dnia z Nowogrodzkiej. „Do Rzeczy" w artykule „Rosyjskie państwo islamskie" pisze: „Muzułmanie odgrywają w Rosji coraz większą rolę. Tym większą, im bardziej Moskwa odwraca się od Europy w stronę Azji". Z kolei „Sieci" w artykule „Kalifat Rosja" donosi: „Rosja w coraz większym stopniu staje się »muzułmańska«, a w coraz mniejszym związana duchowo z tradycją Zachodu". Ciekawe, co o muzułmanach w Rosji napisze niebawem „Gazeta Polska".

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl 177f73f476

Cukierki nie pomogły

Na zachodzie bez zmian.

Gdy wraz z końcem II wojny światowej doszło do drugiego w XX w. rozbioru Niemiec, najbardziej pożywiła się na nim Polska. Ziemie Odzyskane, jedna trzecia terytorium dzisiejszej ojczyzny, poddane intensywnej katolicyzacji, stały się areną prozelityzmu i dosłownej walki o dusze, by po blisko 80 latach stanąć na czele peletonu laicyzacji kraju.

Heimat znaczy ojczyzna

Trafiła w moje ręce książka „Odrzania. Podróż po Ziemiach Odzyskanych" Zbigniewa Rokity. Jako dumna Lubuszanka postanowiłam ukorzenić się jeszcze bardziej w miejscu urodzenia i zamieszkania i czym prędzej przystąpiłam do lektury. Podczas historycznej wędrówki po Ziemiach Uzyskanych – jak słusznie nazywa je autor, bo takie one „odzyskane" jak z ostatnich Piastów polskojęzyczni katolicy – moją uwagę zwróciły dwie kwestie: kluczowa rola Kościoła w propagandzie na rzecz zagrabionej niemiecczyzny oraz pewien paradoks z niej wynikający. Dlatego też zaczęłam drążyć.

Patrząc z perspektywy czasu, o ile Stalin skutecznie zaszczepił szczególnie (o ironio) w prawicowych kręgosłupach krętka „ziem odzyskanych", o tyle wygibasy kościelnych propagandystów już nawet nie tyle spełzły na niczym, ale przyniosły odwrotny skutek. Wybornie parodystyczny *plot twist*. Sam proces chrystianizacji zwiezionego na zachód Polski i wymieszanego z niemieckimi niedobitkami zlepka protagonistów ojczyźnianej konkwisty też miał wiele wartych uwagi akcentów.

Kiedy pełne uroku stalinowskie granice na zachodzie Polski nabrały ostatecznego kształtu, Ziemie Uzyskane należało zagospodarować. Przypadła mi do gustu analogia, o którą pokusił się dla podkreślenia splendoru capniętych germańskich terytoriów Rokita: „Na Ziemiach Odzyskanych zmieściłoby się: pięć Izraeli; albo Dania i Holandia i niemal cała Belgia; albo Czechy i Macedonia; albo Irlandia, Słowenia i Czarnogóra". Słowem kawał poniemieckiej Polski.

Zaludnienie sążnistych terenów, na których przed wojną wypasało się 10 mln Niemców, było zadaniem nieco problematycznym – wszak wskutek harców rozbisurmanionego akwarelisty ubyło nam nieco ludzkiego inwentarza. Ostatecznie wysiedlonych niemieckich niedobitków udało się zastąpić blisko pięcioma milionami sztuk polskiego narybku. Do pełnej repolonizacji poniemieckiej ojcowizny należało jeszcze świeżo powstały lud wyklęty w nowej części Polski zatrzymać. Praca i energia przesiedleńców miały być ukoronowaniem słuszności stalinowskiej koncepcji nowych granic. Ruszyła państwowa machina propagandowa, a Kościół, trzymając się pańskiej klamki, gruszek w popiele nie zasypiał.

Maryja przyjeżdża nad Odrę

Polskie duchowieństwo i komunistyczna władza, choć ze zgoła odmiennych pobudek, rezonowały na wspólną modłę. Polacy mają prawo do niemieckich ziem, powinni je zasiedlać i polonizować.

„Powrót Polski na Ziemie Zachodnie, do ojcowizny piastowskiej, jest wyrazem sprawiedliwości Bożej i ostrzeżeniem dla krwawych narodów. Bo Polska tutaj przez wieki wsiewała, a niwa jej została zniszczona" – powiedział krótko po wojnie Stefan Wyszyński. Srali muchy, będzie wiosna. Głupio wyszło, bo

Watykan aż do lat 70. nie uznał nowej granicy polsko-niemieckiej. Niemniej polski Kościół zaangażował się w komunistyczną propagandę pełną gębą – od hierarchów przez księży w terenie po katolików świeckich. Gra argumentem poparcia Kościoła dla idei tzw. Ziem Odzyskanych umożliwiała Kościołowi uzyskiwanie ustępstw ze strony władzy świeckiej, przede wszystkim chodziło o pomoc materialną przy odbudowie świątyń.

I tak administrator w Gdańsku ksiądz Andrzej Wronka reklamował ideologię polskiego mesjanizmu. Rządca na Warmii ksiądz Teodor Bensch obstawał przy argumencie, że polonizację jego administracji spowodował Bóg w dowód przebaczenia za grzechy Polaków, których pokutą miała być II wojna światowa.

Administrujący Śląskiem Opolskim ks. Bolesław Kominek podkreślał wielką rolę potężnego wschodniego sojusznika i przypominając, że Polska nie otrzymała rekompensaty za straty wojenne, dopatrywał się w Ziemiach Odzyskanych „daru opatrzności" i sprawiedliwości dziejowej. Ponadprzeciętną aktywnością pracowników kurii, na której czele stał administrator apostolski ks. Edmund Nowicki, odznaczał się region Pomorza Zachodniego, gdzie panował niedobór argumentów historycznych, a osadnictwo pozostawiało wiele do życzenia.

Z inicjatywy księdza Nowickiego w 1946 r. zaczął się ukazywać „Tygodnik Katolicki. Pismo religijne dla Ziem Odzyskanych", i to w nakładzie 10 tys. egzemplarzy, co zważając na poziom ówczesnego analfabetyzmu osadników ze wschodu, można uznać za wyraz wyjątkowego entuzjazmu. Mimo że zdecydowana większość przybyszów była ochrzczona, pismo kładło nacisk na powtórną misję chrystianizacyjną. Ukazywało Kościół jako czynnik, któremu państwo i naród zawdzięczały stabilizację. Dla podkreślenia wyjątkowości i odróżnienia polskich katolików od niemieckich protestantów tygodnik postawił na kult maryjny – Matka Boska Częstochowska wjechała na ołtarze poniemieckich świątyń.

Dla podkręcenia procesu adaptacji informowano czytelników, że na tzw. Ziemiach Odzyskanych powołane zostały diecezje, choć były to jedynie administracje apostolskie. Pisano o księdzu Nowickim jako o biskupie, a był on administratorem apostolskim; pisano też o proboszczach, a tymi do roku 1951 oficjalnie pozostawali nieobecni już księża niemieccy. Taki tam drobiazg.

Z tym większą wesołością przeczytałam na blogu księdza Andrzeja Draguły z diecezji zielonogórsko-gorzowskiej historię przyjazdu do Gorzowa ks. Nowickiego, który obwożony przez radzieckiego oficera po swojej diecezji miał spotkać w drodze ze Słubic fałszywego duchownego, „zwabionego możliwością łatwego zarobku". Cóż, jak widać, nie zawsze cel uświęca środki.

Mieszanina smrodu z brudem

Stworzona w ten sposób przytłaczająca i niepodważalna dominacja wiernych Kościoła rzymskokatolickiego przyniosła niekorzystne dla innowierców konsekwencje. Obraz Polaka katolika był przeciwstawiany funkcjonującym w społeczeństwie negatywnym stereotypom: Niemiec – ewangelik; Ukrainiec, Łemko – prawosławny grekokatolik. Fuj. Nietolerancja dla jakiejkolwiek inności była motywacją szykan w szkołach (najczęściej podkręcanych przez samych księży), zamykała również możliwości zawodowe dorosłych. Obawa przed ostracyzmem na tle wyznaniowym determinowała w młodszym pokoleniu oderwanie od religijnych tradycji rodzinnych i skutkowała zawieraniem małżeństw w Kościele rzymskokatolickim oraz wychowywaniem potomstwa w wierze katolickiej. Watykański konglomerat skutecznie położył łapę na świeżych zasobach społecznych. Prymas August Hlond w jednej z homilii pisał: „Gdy ludy trwogą żyją, gdy biedą i głodem karmią, wybija ciemna godzina uwodzenia i duszokradztwa, godzina fałszywych proroków i zwiastunów nowinek religijnych, podstępnych umizgów i kupowania sumień, godzina kuglarzy życia i słowa, którzy usiłują zagarnąć w swe sieci prostaczków i ludzi światłych, obojętnych i najwierniejszych synów Kościoła".

O tym, jak bardzo gra była warta świeczki, mogą świadczyć zapiski w jednym ze sprawozdań Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu. W czasie konferencji ministrantów zorganizowanej przez gorzowską kurię w czerwcu 1950 r. w parafii Trzcianka pow. Piła „polecono chłopcom, by z chwilą rozpoczęcia nowego roku szkolnego organizować na terenie szkoły młodzież wokół siebie i wpajać im kult religijny". Gorzowscy księża oblaci odwiedzali w czasie przerw boiska szkolne i oferując bezpłatne bilety na przedstawienia i filmy, wabili gówniarzy do uczestnictwa w zajęciach z religii.

Na całość według wydziału III WUBP w Zielonej Górze poszedł ks. Kowalski z tegoż miasta, werbując młodzież do kółka religijnego za pomocą cukierków, które kupował „na kilogramy".

Szczególnie zagorzała walka o ludzki cielec, tj. wiernych, rozgrywała się w miejscowościach, gdzie swoją działalność oprócz parafii rzymskokatolickich prowadzili polscy katolicy. Pyskówki między konkurującymi wyznaniami konfliktowały niekiedy całe miejscowości.

Księża polskokatoliccy oskarżali duchownych oraz siostry zakonne o podżeganie do nienawiści międzywyznaniowej i niszczenie autorytetu polskokatolickich proboszczów. No kto by się spodziewał…

Piękne słowo na „I"

Próba umeblowania ziem zachodnich w duchu katolicko-narodowym okazała się fiaskiem. O ile Polska sukcesywnie się laicyzuje, o tyle województwa zachodnie od wielu lat są smętnie zwisającym transparentem upokorzenia rzymskokatolickiej ekspansji. Według danych Episkopatu jeszcze w latach 80. średni odsetek wiernych uczęszczających do kościoła wynosił 50 proc. i zaczął spadać. W zachodniej Polsce i na północy kraju już dekadę temu oscylował w granicach 30–35 proc., żeby w roku 2018 wynosić 16–30 proc. I ciągle spada.

Mnogość kultur i otwartość na Zachód – wszystko to, co od zarania starał się i stara po dziś dzień wykorzenić Kościół – pozwoliły obronić te ziemie przed katolickim najeźdźcą.

IDALIA DUBICKA

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Bebe Grzegorz Kaszak. jak wiadomo, został wysłany na emeryturę po skandalu na parafii w Dąbrowie Górniczej. Kaszak ma 59 lat. Średnia emerytura biskupa może wynieść przynajmniej 8 tys. 222 zł netto. Otrzyma też „mieszkanie zapewniające mu godne życie". Rachunki za energię elektryczną, ogrzewanie, wodę i gaz zapłaci diecezja. Diecezja zapłaci także za pomoc domową do sprzątania i gotowania. Kaszak na emeryturze będzie mógł także dorobić, udzielając sakramentów i pobierając za to „co łaska". Jak to mówią: tylko żyć, nie umierać. Aha, gdyby Kaszak otrzymał mieszkanie z ogrodem, to należy mu się także darmowy ogrodnik.

✚ Ile zarabiają księża? Początkujący wikary śmiesznie mało – 800 zł. Tyle płaci mu proboszcz parafii. Mało, bo w Kościele panuje system feudalnej podległości. Starszy stażem wikary ma już ciut więcej – 1400 zł netto miesięcznie. Proboszcz może mieć ok. 2400 zł netto miesięcznie. Oczywiście wszystko to zależy od wielkości parafii, liczby wiernych. Dodać należy, że ksiądz ma zapewnione w parafii mieszkanie oraz tzw. wikt i opierunek. Pracownik kurii może zarobić ok. 2 tys. zł. Kapelan policyjny, więzienny ma od 2200 do 2300 zł netto miesięcznie i tego nie płaci Kościół, ale państwo. I są to dochody dodatkowe. Podobnie katechecie w szkole płaci państwo. Etat to ok. 2 tys. zł netto. Chyba że ksiądz jest nauczycielem dyplomowanym – wówczas to 2800 zł. Do tego dochodzą datki za chrzty, śluby, pogrzeby. Od kilkuset zł nawet do tysiąca. Średnia emerytura dla księdza w Polsce wynosi ok. 5 tys. zł. Kościół będzie się bronił ile sił przed wyprowadzeniem religii ze szkół. Ze względów finansowych.

✚ Protektorem bepe Kaszaka była wdowa po Janie Pawle II, czyli kardynał Stanisław Dziwisz. To kolejna cegła w murze budowy wielkości Wielkiego Polaka Papieża.

✚ Proboszcz w parafii pod wezwaniem św. Brata Alberta w Koziegłowach ks. Daniel Wachowiak uznał, że nie jest w stanie obskoczyć wszystkich parafian z kolędą, więc zaapelował, aby chętni sami się zgłaszali do biura parafialnego. On pójdzie do tych, którzy się zgłoszą. Pomysł chyba nie jest taki głupi.

✚ Znany z naszej rubryki, niemal jej cotygodniowy bohater ks. Michał Woźnicki tym razem zdecydował się iść w ślady seksuologów i powiedzieć coś na temat życia erotycznego: „Pocałunki w intymne części na intymny sposób to jest bezwstyd, to się Bogu nie podoba, to zabija miłość i zabije chuć". Ale skąd ksiądz wie o tej zabitej chuci?

Rys. OBYWATEL JANEK

✚ Kościół ledwo co oficjalnie zakończył pierwszą sesję synodu. Watykan opublikował dokument podsumowujący obrady, a kolejna, finalna sesja odbędzie się już w październiku przyszłego roku. Proponowane przez franciszkańskich hierarchów zmiany w nauce Kościoła powodują spory wkurw wśród wielu duchownych, zwłaszcza w Polsce. Chodzi o zmiany dotyczące postrzegania nauki kościelnej na temat homoseksualizmu i LGBT oraz udziału kobiet w życiu kościelnym.

✚ Prof. Aleksander Bańka, delegat Kościoła w Polsce na synod o synodalności, w wywiadzie dla Onetu: „Okazuje się, że tematy, którymi żyjemy tutaj, w Polsce czy w Europie, wcale nie są dla całości Kościoła kluczowe i wiodące. W związku z tym, żeby zrozumieć, czym ten Kościół jest jako całość, trzeba wyjść z naszej wąskiej perspektywy i zobaczyć na przykład to, że dziś serce Kościoła bije już poza Europą. To już nie Europa jest Kościołem najbardziej żywotnym, dynamicznym, aktywnym. Oczywiście możemy chwalić się głęboką europejską teologią i wielką tradycją, ale na czołowych uczelniach w Rzymie większość studentów stanowią osoby spoza naszego kontynentu. I za chwilę to inne kontynenty będą przysyłać nam misjonarzy". Polscy biskupi tego trendu nie powstrzymają, a i kuriozalne „dziedzictwo" Jana Pawła II nie przetrwa.

✚ Tym razem jezuici. Dwóch zakonników ks. Maciej Sz. oraz ks. Wojciech K. zostało oskarżonych o molestowanie seksualne nieletnich. Rzecznik prasowy Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego wyraził „ogromny ból z powodu głębokich zranień spowodowanych czynami, których dopuścili się nasi współbracia". Czy oprócz wyrażania bólu jezuici wspomogą jakoś ofiary? Bo rzecznik nie wspomniał.

KLECHA

eprasa.pl 177f73f476

Gra o ciężki szmal

Jak finansować sport? Sam diabeł sobie z tym nie poradzi.

Trzykrotna olimpijka w snowboardzie i posłanka VII, VIII oraz IX kadencji sejmu Jagna Marczułajtis-Walczak będzie miała wiele do powiedzenia przy tworzeniu podstaw prawnych działania sportu w najbliższych latach. Zasiadać będzie, jak poprzednio, w komisji sportu i turystyki. W pierwszych wywiadach, jakich posłanka KO udzieliła po wyborach, stwierdziła, że sport, podobnie jak wiele innych dziedzin, wymaga oczyszczenia po ośmioletnich rządach PiS. Oczywiście zastrzega, że są sprawy pilniejsze, ale za sport rekreacyjny (zwłaszcza w szkołach) i wyczynowy w końcu też trzeba się będzie wziąć.

Tydzień temu pisałem, że

oddanie przez PiS sportu wyczynowego w ręce spółek skarbu państwa, a konkretnie ministra Jacka Sasina, jest patologią.

Miło mi, że z posłanką Marczułajtis mamy identyczny pogląd na tę sprawę. Pytanie tylko, jak sobie z tym poradzić. Przyznaję szczerze, że nie mam pojęcia. Jagna Marczułajtis-Walczak w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" stwierdziła, że będzie zabiegać o to, żeby pieniądze, niezbędne przecież dla sportu, jak najszerszym strumieniem popłynęły z prywatnego biznesu.

Sponsor za trzy dwieście

Czy prywatny biznes jest w stanie utrzymywać kluby sportowe? W ostatnich latach był stamtąd skutecznie wypierany. Podam dwa przykłady z żeńskiej siatkówki. Do obecnych rozgrywek najlepszych drużyn przystąpiły PGE Rysice Rzeszów. W minionym sezonie klub nazywał się PGE DewelopRes Bella Dolina Rzeszów. Budowniczy osiedli w stolicy województwa podkarpackiego, w tym tytułowej Bella Doliny, zrezygnował z finansowania siatkarek. Prawdę mówiąc, nie wiem dlaczego, zapewne uznał, że mu się to nie opłaca.

Przed startem ligi odbyła się miła uroczystość zaprezentowania rzeszowskiej drużyny nowym sponsorom. Głównym pozostała spółka skarbu państwa, czyli Polska Grupa Energetyczna, nowym dobrodziejem – Lasy Państwowe. Skąd takie zainteresowanie leśników żeńską siatkówką w Rzeszowie? W herbie klubu jest ryś, czy może raczej rysica (na rysunku nie widać szczegółów anatomicznych). To wiele wyjaśnia. Najprawdopodobniej działacze mieli jakieś dojścia do kierownictwa Lasów Państwowych, których polityczne zaangażowanie po stronie partyjki Zbigniewa Ziobry nie jest nawet ukrywane.

Czy na zmianie nazwy jednej z najsilniejszych polskich ligowych drużyn zyskają coś rysice i rysie ukrywające się w kniejach? Na razie zarobiły 3200 zł, bo za taką sumę podczas wspomnianej uroczystości zlicytowano klubową kurtkę, a pieniądze przekazane zostaną na ochronę drapieżnego ssaka z rodziny kotowatych.

Rysice (te sportowe) po utracie prywatnego sponsora wyszły na swoje. Nie można tego powiedzieć o siatkarkach Legionovii. Klub pięknie się rozwijał, w podwarszawskim Legionowie grał w kameralnej ładnej hali, miał wielu kibiców. Zatrudniał coraz lepsze zawodniczki, także z zagranicy, widocznie prywatni darczyńcy nie szczędzili grosza.

Sprzątanie po patronie

W 2021 r. ze sponsorowania klubu wycofała się firma kurierska DPD Polska (nie przedłużyła kontraktu). W nazwie klubu pozostał holding IŁ Capital z prezesem Igorem Łukasikiem. W styczniu br. patron przedwcześnie zerwał umowę z klubem, a później wydarzenia nastąpiły jedno po drugim. Legionovia przestała istnieć, a Polska Liga Siatkówki poinformowała o wykluczeniu jej z rozgrywek w trakcie trwania sezonu. To naprawdę nie zdarza się często.

Żałosne, że nie było nawet komu posprzątać po upadłym klubie. Zawodniczki i wybitny włoski trener Alessandro Chiappini zostali z zaległymi wypłatami za rok pracy. Włochowi dano do zrozumienia, że nie ma po co dochodzić racji przed sądem, bo klub nie istnieje i nie ma kogo pozywać. W hali pozostały wielkie reklamy IŁ Capital. Nikt nie miał ochoty ich zdejmować i utylizować, bo to przecież kosztuje.

Alessandro Chiappini nie wyjechał z Polski. Przeniósł się do Łodzi i z drużyną ŁKS zdobył mistrzostwo kraju. Warto dodać, że jednym z ważniejszych sponsorów siatkarek ŁKS jest spółka budująca obiekty przemysłowe Commercecon, a ich przydomek brzmi „Łódzkie Wiewióry". Klub utrzymuje więc miasto, prywatne firmy, a może po zmianie władz w Lasach Państwowych zarobią wiewiórki. Pospolitym małym gryzoniom też się coś od sportu należy.

Oczywiście rozumiem, że prywatnych sponsorów można – jak proponuje posłanka Jagna Marczułajtis-Walczak – zachęcać do inwestowania w sport, wprowadzając odpisy podatkowe i inne formy motywacji, ale obawiam się, że minie dużo czasu, zanim firmy przekonają się do tego rodzaju aktywności. I nabiorą do niej zaufania.

Sport – i ten na najwyższym poziomie, i ten znacznie skromniejszy – zachęca do wykładania funduszy, proponując w zamian możliwość reklamy. Za rządów PiS, gdy w tę dziedzinę wkroczyły spółki skarbu państwa, reklama straciła sens. No, może jeszcze Totalizator Sportowy, państwowe banki czy PZU mogą z czystym sumieniem mówić o chęci docierania do jak największej liczby odbiorców. Od większości spółek skarbu państwa nie uciekniemy, bo nie mamy wyboru, czy będą się one reklamować przez sport, czy nie będą, jesteśmy na nie skazani.

Orlen po fuzji z Lotosem jest niemal monopolistą na rynku paliw i wydawał wielkie pieniądze na sport tam, gdzie wskazała mu władza. Tylko mała firma Moya, właścicielka ok. 300 stacji benzynowych w Polsce, próbuje się jeszcze reklamować w sporcie. Wróćmy do ekstraklasy siatkarek. Gra w niej sympatyczna drużyna Moya Radomka Radom. Jej maskotką jest kogut Rico – być może to zachęci do wyłożenia kasy jakąś prywatną firmę drobiarską.

Sportowy klub samorządowy

Spółki skarbu państwa i prywatne firmy to niejedyni właściciele klubów. Należą one także do samorządów, a w tym gronie znajdziemy zacne podmioty. Z młodości pamiętam, jak ulice się wyludniały, gdy Górnik Zabrze grał w europejskich pucharach. Teraz nad 14-krotnym mistrzem Polski zawisła finansowa katastrofa. Piłkarze od kilku miesięcy nie dostają wypłat. Według prasowych niepotwierdzonych informacji zadłużenie wynosi ponad 60 mln zł. Trwa gorączkowe poszukiwanie prywatnego inwestora.

W Zabrzu wiele obiecują sobie po Podolskim. Lukas Podolski, niemiecki mistrz świata polskiego pochodzenia (urodził się w Gliwicach, sprawnie, choć z fajnym śląskim akcentem, posługuje się naszą mową), już raz przyszedł na pomoc Górnikowi. Zawsze zapowiadał, że kończyć karierę chciałby w Polsce, i słowa dotrzymał. Przyszedł do Górnika Zabrze i od razu zachwycił swoją grą. Teraz podobno stara się przyciągnąć bogatego niemieckiego inwestora, co ma być tym łatwiejsze, że prywatnie są przyjaciółmi. Nazwiska ewentualnego dobroczyńcy Górnika nie podano. Oczywiście osobiste kontakty są ważne, ale przypomnijmy, że sport to jednak biznes, a w polskiej Ekstraklasie trudno liczyć na zyski. Już prędzej na straty.

Klubem z bogatymi tradycjami jest także Śląsk Wrocław. Za komuny był to klub wojskowy, trafiali tam poborowi piłkarze, których nie chciała Legia Warszawa. Mimo wszystko WKS Śląsk Wrocław miał grono oddanych kibiców.

Za kapitalizmu różnie układały się właścicielskie losy piłkarskiego klubu. Miasto od dawna poszukuje prywatnego sponsora, który uwolni je od konieczności płacenia na futbolistów. Wcześniej większościowe udziały sprzedawano właścicielowi Groclinu (skazanemu później za korupcję), właścicielowi Polsatu (uznawanemu wówczas za najbogatszego Polaka), wszystkie transakcje nie były udane, w rezultacie akcje wracały do miasta, a od 2019 r. do gminy. W prasowych doniesieniach przewijało się wiele nazwisk chętnych na kupno akcji, nawet nie będę ich wymieniać, bo rozsiewanie plotek nie jest moją pasją.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Teraz na horyzoncie pojawiła się firma Westminster, niemiecki potentat na rynku nieruchomości. Westminster nie jest nowicjuszem w sporcie, od lat inwestuje w hokej na lodzie i w wyścigi konne. Pojawiał się także w polskim futbolu, sponsorując łódzki Widzew i Legię Warszawa, czyli kluby niepałające do siebie miłością. Co innego jednak podpisanie umowy sponsorskiej, a co innego kupienie całego klubu.

Na korzyść Śląska mają działać dwa fakty. Po pierwsze, firmą Westminster kieruje biznesmen z polskimi korzeniami Marian Ziburske, a po drugie, wrocławski klub zaczął świetnie sobie radzić na boisku. W chwili, gdy piszę te słowa, Śląsk przewodzi w tabeli Ekstraklasy.

Ponoć rozmowy trwają. Jakkolwiek się skończą, jedno nie ulega wątpliwości. Na przykładzie Śląska Wrocław widać, że model dużego piłkarskiego klubu, którego głównym właścicielem jest samorząd, już się wyczerpał.

Wyczyny na koszt gminy

Łódź nie skąpi pieniędzy na sport. Miasto nie jest jednak właścicielem ani Widzewa, ani ŁKS. Finansowało co prawda budowę stadionów tych klubów, ale pieniądze wydaje na wszystkie seniorskie sekcje występujące w najwyższych ligach. Co jakiś czas przyjmuje wnioski od klubów na dofinansowanie i jest to procedura w pełni jawna. „Express Ilustrowany" podał dokładne kwoty. Na trwające drugie półrocze miejskie władze przeznaczyły 6 175 738,45 zł. Najwięcej dostaną siatkarki Budowlanych Łódź – 1 044 500 zł, ich rywalki z żeńskiej ligi siatkówki, mistrzynie Polski ŁKS – niewiele mniej. Co ciekawe, futboliści Widzewa i ŁKS zadowolić się muszą mniejszymi sumami niż siatkarki. Żużlowcy Orła Łódź (klubu należącego do rodziny Skrzydlewskich) wzbogacą się o 720 tys. zł, a najmniej dostaną zawodnicy Widzewa grający w futsal, czyli futbol halowy, bo tylko 70 tys. zł.

Podobną politykę prowadzi wiele innych samorządów, co łatwo zauważyć na koszulkach zawodniczek i zawodników. Od jakiegoś czasu większość miast i regionów ma bardzo ciekawe graficznie znaki. Możemy je zobaczyć na strojach zawodników, oczywiście obok dużych logo najważniejszych sponsorów lub właścicieli.

Nie tylko ja zainteresowałem się finansowaniem sportu wyczynowego przez gminy. Przyjrzeli mu się także inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli. Wnioski w ich raporcie są dość ponure.

Na sport wyczynowy wydawane są wielkie pieniądze. Skontrolowano sześć gmin. W ciągu 2,5 roku wydały 1,6 mld zł.

Na gminach spoczywa obowiązek utrzymywania kultury fizycznej i sportu. Jest jednak ważne zastrzeżenie: o ile sport rekreacyjny może być bezpośrednio dotowany, o tyle wyczynowy (kwalifikowany) podlega zupełnie innym zasadom. Samorządy mogą go wspierać, fundując nagrody oraz stypendia dla zawodników i trenerów za wybitne osiągnięcia – na tym koniec. Tymczasem spośród sześciu skontrolowanych gmin cztery naruszyły te zasady i przekazały klubom 22,5 mln zł w formie dotacji.

Połowa kontrolowanych gmin była akcjonariuszami dotowanych klubów i z góry zakładano straty, tłumacząc je koniecznością utrzymania płynności finansowej. Gminy zapewniły inspektorów NIK, że sytuacja ma się poprawić po znalezieniu przez kluby inwestorów strategicznych. Tu wracamy do sytuacji Śląska Wrocław.

Nie tylko w Polsce finansowanie sportu jest zagmatwane. Spójrzmy na kolorowy peleton kolarski. Znajdziemy na koszulkach nazwy prywatnych firm (tych jest najwięcej), ale także państwowych spółek, takich choćby jak Française des Jeux (FDJ), francuskiego organizatora loterii. Są drużyny bezpośrednio utrzymywane przez rządy: Zjednoczonych Emiratów Arabskich i Bahrajnu. Zniknął natomiast z wiadomych względów Gazprom. Pani Jagno, jakoś z tym wszystkim trzeba będzie sobie poradzić. Ja nie wiem jak.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Agnieszka Wołk-Łaniewska, Marek Sanowski.
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).
WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.
ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.
DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl
Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.
DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl
„Ruch" S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7^{00}– 17^{00}. (koszt połączenia wg taryfy operatora).
prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl
Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00
Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0
Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl
Numer zamknięto: **str. 1–16 – 8.11.2023 r.**

eprasa.pl 177f73f476

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Kogoś ty z siebie zrobił? – zapytał Jarosław Kaczyński, lat 74.

Rzeczywiście, Ryszard Terlecki, lat 74, wyglądał niecodziennie: resztki włosów na głowie upiął w fantazyjny kok, włożył za dużą piżamę, a do pasa przypiął dwa miecze.

Za samuraja przebrał się także Joachim Brudziński, lat 55. Krzysztof Sobolewski, lat 45, wolał strój gejszy: miał na sobie ciut za ciasne kimono, a makijaż na twarzy tak niedbały jak tylko się da.

– Taka karma – powiedział Terlecki trochę po japońsku, a trochę w sanskrycie.

Na tacy, którą trzymał w obu rękach, zabłysło ostrze noża tantō.

– Seppuku – szepnął z trwogą.

– Harakiri – z japońskiego na japoński przetłumaczył Brudziński.

– Szef musi strzelić samobója – czystą polszczyzną powiadomił Kaczyńskiego Sobolewski.

– Honor taki – dodał Terlecki.

– Żeby poruty nie było – wyjaśnił Sobolewski.

Kaczyński rozejrzał się bezradnie w poszukiwaniu ratunku. Odwrócił się tak szybko jak potrafił, ale zrobił to stanowczo zbyt wolno. Pochwycił go Sobolewski, wydając charakterystyczny dźwięk.

– Bąk taki? – zapytał po japońsku Terlecki, odkładając tacę z tantō.

– Nie bąk, tylko kimono mi się rozpruło – odparł Sobolewski.

Unieruchomili Kaczyńskiego, wpierw rozbierając go do naga, a potem kneblując i przywiązując sznurkiem do krzesła.

Terlecki odgrywał rolę chirurga, a Sobolewski był instrumentariuszką.

– Fundoshi! – rozkazał pierwszy, a drugi podał mu dwie sztuki bawełnianej bielizny, w którą nie bez trudności ubrano Kaczyńskiego.

– Wafuku! – polecił Terlecki.

Sobolewski podał mu kimono.

– Kutsushita!

Czyli skarpety… Terlecki założył je na drżące stopy Kaczyńskiego. Podobnie jak sandaru, czyli japonki.

– Gotowy jako tako – oznajmił Terlecki. – Teraz seppuku.

– Sam nie strzeli samobója – stwierdził Sobolewski. – Musimy mu pomóc.

Nagle zza stojącej w rogu pokoju wersalki wypadł Michał Moskal, lat 29, szef gabinetu politycznego wicepremiera Kaczyńskiego. Przybywał szefowi na pomoc.

– Ułałałałała! – wrzeszczał, jak gdyby obdzierano go ze skóry.

Był przebrany za Indianina, a w ręku trzymał tomahawk.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których jedna jest duchem

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA powoli zapada w sen zimowy – jak to w listopadzie. To znaczy, że **GOŚKA DANISZEWSKA** będzie miała więcej okazji, żeby jej się przyśnić. Gośka nie wydaje się zachwycona.

Daniszewska: – Przestaniesz mnie wreszcie ciągać po nocach?

Wołk-Łaniewska: – A co ci za różnica, skoro ciebie nie ma?

– Niby nie ma, ale jednak trujesz mi nieistniejącą dupę. Nie możesz sobie znaleźć kogoś innego do gadania?

– Rozważałam to. Ale smutno mi tak się z tobą pożegnać na zawsze.

– Niech ci będzie, przyśnię ci się od czasu do czasu. Ale nie tak, kurwa, co tydzień, to nie do zniesienia. Słyszałaś kiedyś frazę „niech spoczywa w pokoju”?

– Niby tak, ale to religijny koncept jest.

– Pokój, a tak konkretnie spokój, nie ma religijnej afiliacji. No dobra, skoro już tu jestem, to opowiadaj. Rząd mamy?

– Nie, ale premiera owszem.

– O, a jakiego?

– Zgadnij!

– Kaczyńskiego.

– O kurwa, a to skąd ci się wzięło?

– No, mówiłaś, że PiS wygrał wybory.

– Nie, mówiłam, że PiS ogłosił, że wygrał wybory. Jak wszyscy inni, z wyjątkiem Konfederacji. A Kaczyńskiego to akurat w ogóle nie ma.

– Gdzie?

– Nigdzie. Nie było go na konsultacjach u prezydenta ani na posiedzeniu nowego klubu, ani na radzie ministrów…

– Umarł?!?

– I myślisz, że jest w Mińsku?

– Ja nic nie myślę, to tobie się śni. Ale dlaczego akurat w Mińsku?

– Nie pamiętasz dowcipów o Breżniewie? Że był w Mińsku. A dlaczego? A bo się do Silesii nie zmieścił.

– Silesia to była polska lodówka, towarzysze radzieccy w życiu by genseka do polskiej lodówki nie wsadzili, nie honor. Głupi dowcip. To co z tym Kaczyńskim?

– Zanikł.

– Dlaczego? Bo wygrał, ale przegrał?

– To na pewno, tylko są różne interpretacje szczegółowe. Jedni mówią, że się obraził na partię, że mu przegrała, i teraz karze ją swoją nieobecnością, a inni z kolei, że czuje się winny i karze sam siebie. Ale ja wiem lepiej.

– Jak zwykle…

– Bo my z prezesem mamy jedną wspólną cechę.

– Żeby jedną. Ale dawaj.

– Bardzo źle znosimy krytykę. Ja to mówię wszystkim mężczyznom w moim życiu już na wstępie: jestem doskonała…

– Kaczyński też tak myśli.

– O mnie?

– Nie, o sobie. Jesteś doskonała i…?

– Mam tylko jedną wadę: bardzo źle znoszę krytykę. Tylko aplauz i zaakceptowanie, jak w „Rejsie”.

– Jakim znowu rejsie?

– Piwowskiego: „Każdy może, prawda, krytykować, a mam wrażenie, że dopuszczanie do krytyki to nikomu tak nie podoba się, więc dlatego z punktu mając na uwadze, że ewentualna krytyka może być, tak musimy zrobić, żeby tej krytyki nie było – tylko aplauz i zaakceptowanie”. I my z prezesem mamy tak samo. Więc się skrył przed światem, żeby nie słuchać ewentualnej krytyki, i dlatego premierem jest Morawiecki.

– A kto go zrobił?

– No jak to kto? Duda. To było zresztą bardzo zabawne, bo wszyscy wiedzieli, że Duda namaści Morawieckiego, ale kiedy już to zrobił, wszyscy byli strasznie zaskoczeni. Jak z tą flaszką…

– Jaką znowu flaszką?

– To taka głęboka psychologiczna obserwacja niejakiego „Kamola” z Kabaretu Potem: wszyscy wiedzą, że flaszka się kiedyś skończy. Ale kiedy się kończy, wszyscy są bardzo zdziwieni.

– Coś w tym jest…

– A skąd ty to niby wiesz? Przecież w waszym magicznym barku w Konstancinie flaszki nigdy się nie kończyły.

– Ale ja nie zawsze mieszkałam w Konstancinie, przypominam. Byłam studentką prawa w PRL-u i dziennikarką w stanie wojennym, i w Zatoce Czerwonych Świń mieszkałam…

– Byłam tam ostatnio, w twoim bloku chyba, w odwiedzinach u zachwycającej Olgi Lipińskiej.

– O, i co u Olgi? Jak się trzyma?

– Rewelacyjnie jak zwykle. Kazała mi przeczytać Fredrę. Mówi, że nikt tak doskonale nie rozumiał polskiej głupoty. A ja się nie zgadzam, bo uważam, że jej to też nieźle szło. „Ułan z dziewicą przy szambie”…

– „Pejzaż po bitwie na tle sztandarów”…

– Dokładnie. Jako wnuczka ułana jestem szczególnie poruszona tą wizją. To najdoskonalsze przedstawienie naszej wzniosłej narodowej mentalności, akurat na 11 listopada. Hymn kazali śpiewać.

– Kto? Komu?

– Nie wiem kto, ale wszystkim. „Kimkolwiek jesteśmy, gdziekolwiek będziemy, w samo południe, w 105. rocznicę odzyskania niepodległości”. W telewizji kazali. Taki filmik do tego zrobili: gruby koleś biegnie z tubą, dzieciak się bawi na trzepaku, ktoś dziadkowi wąsy maluje, a potem wszyscy wkładają maciejówki i hajda fałszować… Wzruszające, doprawdy. Całkiem jak ten ułan. Opowiem ci, jak wyszło.

– Mówię ci, znajdź sobie kogoś innego do gadania. Tylko żeby to był ktoś.

WOŁK

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 273

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 177f73f476